Nr. 40 (1499). Warszawa, 2 Października 1909 r. **Rok XXIX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 4-ty kwartał.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Lwia paszcza.

Ongi w Wenecji dla przyjmowania listów z fałszywymi insynuacjami istniała głowa lwa z otwartą paszczęką, bo przypuszczano, że delatorzy wstydzić się będą ich dostarczać" — pisze *Dziennik Powszechny* i dodaje ze zdumiewającą bezczelnością pod adresem naszego pisma i stronnictwa:

„Czyżby dziś u ludzi, którzy się mienią rzecznikami postępu i wolności, a w gruncie rzeczy są tylko fanatykami bez wiary lub przeciwnikami chrystjanizmu — skrupułów takich nie było?"

Dziennik Powszechny ośmielił się postawić to pytanie z racji drukowanego na tym miejscu artykułu o okólniku arcybiskupa Popiela do prefektów, zapominając w swym ślepym gniewie, że organa opinji publicznej mają prawo i obowiązek roztrząsać, krytykować, oceniać słowa publicznie drukiem ogłoszone, wysnuwać z nich wnioski; że taka jawna krytyka absolutnie nie da się porównać z postępkiem tegoż samego arcybiskupa, który nasze pismo oskarżył przed władzą w liście z dn. 23/IV 1907 r., napisanym *tajnie* lecz włączonym do aktu oskarżenia, a stamtąd przez nas przedrukowanym w Nr. 21 *Prawdy* z roku 1908-go. Takich reminiscencji nie należałoby wcale dotykać, aby nie poruszać kałuży, nad którą się gniazdko uwiło.

Jakkolwiek jest wiadomą rzeczą, że i u nas „głowa lwa" istnieje, jakkolwiek obóz, którego spraw broni *Dziennik Powszechny*, wie do niej drogę i nieraz z niej korzystał — nic dziwnego, że zdradza tęsknotę do epoki rzeczypospolitej Weneckiej, która większą dyskrecję zapewniała delatorom. U nas „lwia głowa" niekiedy włącza połknięte rękopisy do jawnych akt urzędowych, wynosi na światło dzienne i — pośrednio poddaje odpowiedzialności moralnej fałszywych „donosicieli", kryjących się wstydliwie w mrokach konspiracji.

I oto społeczeństwo ze zdumieniem i zgorszeniem dowiaduje się, że w ich rzędzie obok jednostek wykolejonych figurują nazwiska dygnitarzy kościelnych, jak biskup Zdzitowiecki, pamiętny swym pełnym fałszywych insynuacji listem oskarżającym Niemojewskiego, jak ksiądz Mużnarowski z Lubrańca, któremu niedawno udowodniono wobec sądu działalność denuncjatorską, jak ks. Szczotkowski, który denuncjował kolegę księdza, ks. Kłopotowski, oskarżający 8 robotników zecerów, jak ów ksiądz Jan Włodzyński z Lubelskiego, którego denuncjację włościan za udział w manifestacjach nar.-dem. stwierdziła przed kilku miesiącami *Ziemia Lubelska*, — i wielu, wielu innych o dawnych lub całkiem świeżych zasługach na tym polu.

Ta strona działalności duchowieństwa jest już dziś po wielokrotnych procesach tak ogólnie znaną, że przestała robić wrażenie i uchodzi nieomal jako objaw normalny, tak, że każdy, kto się duchowieństwu naraża, z góry przewiduje konflikty z „lwią głową".

Co więcej — nasza „lwia paszcza" już tak sobie obrzydziła strawę, którą ją duchowieństwo przekarmia, że ją nieraz z niesmakiem i lekceważeniem odtrąca.

Oskarżenia idą do kosza jako bezwartościowy materjał, lub po krótkim formalnym śledztwie wykazują swą nikłość. Tradycje inkwizycji, która tropiła heretyków i oddawała ich władzy świeckiej, są wiecznie żywe w obozie klerykalnym i to nietylko w na-

szym kraju. W Czechach prof. Masaryk zebrał przeszło 70 faktów denuncjacji ze strony prefektów. W Galicji kilka lat temu wytoczono dziatwie szkolnej proces o zdradę stanu za zawiązanie stowarzyszenia, które ujawnił spowiednik jednego z oskarżonych, zmuszając swego penitenta do zdradzenia kolegów. Był to słynny w swoim czasie proces tarnobrzeski. Prefekt wbrew opinji dyrektora i nauczycieli, którzy chcieli się ograniczyć do dyscyplinarnej kary — wymusił oddanie sprawy c. k. prokuratorji.

Co zaś w tym wszystkim jest najbardziej wstrętne i przerażające, to zupełne znieczulenie moralne tych, którzy wprawdzie bardzo chętnie korzystają z dyskrecji „lwiej paszczęki", lecz bynajmniej nie reagują na jej sporadyczne rewelacje. Przeciwnie; wychodzi na jaw jeden fakt za drugim, coraz to nowy proces podaje do publicznej wiadomości nazwiska wielebnych i przewielebnych denuncjantów, a ich stanowisko społeczne, ich stosunki towarzyskie, ich pogoda umysłu, pewność siebie—nic na tym nie cierpią. Mimo wszystko z uroczystą miną idą między lud nauczać, napominać, apostołować cnoty, błogosławić — tą samą ręką, która pisała donosy.

Jeżeli w świeckich kołach społeczeństwa ujawniony zostanie choć jeden postępek podobny, wkoło człowieka, który go popełni, odrazu tworzy się pustka. Etyka świecka reaguje doraźnie, odruchowo... i jednostki społeczne umieszcza poza nawiasem życia społecznego. Mamy tego całkiem świeże przykłady.

Obarczony takim zarzutem znany literat świecki — bez żadnej zmowy ani agitacji znalazł się zaraz w takim odosobnieniu, jakiej w starożytności odległej podlegali trędowaci. Żadne pismo nie chciało drukować jego prac i udzielać mu głosu, żaden dbający o swe dobre imię działacz publiczny nie zasłonił go swym wpływem i powagą; jednogłośnie wszyscy domagali się, by się oczyścił, a on warunek ten z zupełnym uznaniem i poddaniem przyjmował.

Tak się traktuje te sprawy *u nas.* Ale *u was* inaczej!

U was tak się ta choroba rozpowszechniła, że uczciwe jednostki z waszego własnego obozu wybuchają oburzeniem na *„policyjne zelatorstwo"* nadkatolickich *hijen,* nie brzydzących się żadną bronią, jak to stwierdza cytowany u nas na innym miejscu artykuł p. Rakowskiego w *Sztandarze.* Pan Rakowski jest jednak tak dobroduszny, że o poskromienie tego „zelatorstwa" zwraca się do władzy duchownej, zapominając, że ona sama w tym względzie *nadkatolikom* przykładem przyświeca.

Święte oburzenie powstaje nie wobec insynuacji lub denuncjacji, lecz wobec jawnej publicznej krytyki, która się nie cofa przed poświęcaną sukienką duchowną. Nie o moralność chodzi, lecz o nietykalność, o zachowanie zewnętrznych form duchownej powagi, którą dawno już podkopały gorszące postępki.

Chodzi o to, żeby tak lub owak zamknąć usta prawdzie, zakneblować opinję publiczną. Ponieważ zaś wiadomo, że opinja publiczna u nas — ludzi świeckich — specjalnie jest wrażliwa na zarzut niepatryjotyzmu lub zdrady — naciągacie fakty, przekręcacie wyrazy, by tylko podszyć się pod popularne zasady, którym sprzeniewierzacie się na każdym kroku, by wmówić w ludzi, że wasza sprawa jest sprawą narodowości, lub sprawą wolności.

Zarzut postawiony *Prawdzie* i Zjednoczeniu Postępowemu jest grubym kuglarstwem demagogicznym.

Broniąc niezależności szkoły świeckiej od kontroli i interwencji prefektów kierowanych przez władzę kościelną, przewidując smutne następstwa niefortunnego okólnika, spełnialiśmy poprostu obowiązek ciążący na każdym publicyście, obowiązek wysnuwania wniosków z faktów, przewidywania ich następstw i ostrzegania przed nimi społeczeństwa.

Zarówno historyczne jak współczesne doświadczenia pouczają dostatecznie, od czego się sklerykalizowanie szkoły zaczyna, na czym się kończy. Mamy przecież, nie szukając dalej, odstraszające przykłady szkoły galicyjskiej, mamy całkiem już świeże i blizkie eksperymenty próbne dokonywane sporadycznie przez prefektów różnych szkół naszych. Mamy zresztą na potwierdzenie wszystkich naszych obaw i przewidy-

---

5)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

IV.

Należałam więc do mężczyzny...?

Uwierzyłam temu po wielu dniach bezgranicznego cierpienia. Pozostało mi po nich niewyraźne wspomnienie.

Istnienie moje, wyprowadzone już z równowagi wskutek opuszczenia przez ojca, uległo tragicznemu, wstrząsającemu przewrotowi. Czym byłam teraz? Czym stawałam się? Moje życie dziecka skończyło się.

Moja duma istoty wolnej i myślącej burzyła się, lecz nie pozwalała mi tonąć w żalu, lub usprawiedliwiać samą siebie. Miałam poczucie odpowiedzialności za to, co się stało.

Od dwuch lat prawie znałam tego człowieka.

Widywałam go codziennie: był mi towarzyszem i pomocą w pracy. Patrzałam nań zawsze z szczerą, dziecinną sympatją: nawet nieokrzesanie jego bawiło mnie.

Pewnego dnia ze spokojem zniesławił w mych oczach ojca... Dlaczego ani przez chwilę nie wątpiłam o prawdzie słów jego? Nie miałam pojęcia o życiu, doświadczenie jego budziło we mnie rodzaj szacunku. Uśmiechał się do mnie z politowaniem. Był świadkiem okropnego niepokoju mej duszy, nagle zbłąkanej. I zdawał mi się być innym niż przedtym, istotą nową, obdarzoną wszystkim tym, czego brakło ojcu. Z jaką pogardą sądził go, i z jakim wruszeniem bronił matki! Raz tylko doznałam przykrego wrażenia, gdy—na pytanie, czy zechce być świadkiem, a zmuszę ojca do wyznania prawdy — zaklął mnie bym milczała...

Od tej chwili otoczył mnie falą słów pieszczotliwych: serce moje miękło. Nie wątpiłam o jego uczu-

wań słowa tegoż artykułu w *Dzienniku Powszechnym*, który żąda „aby nie było dysonansów i sprzeczności w szkole”, ale naturalnie z obowiązku unikania tych dysonansów nie wysnuwa bynajmniej wskazówki dla prefektów, by sharmonizowali swoje wykłady z naukowymi podstawami wykładów świeckich. Zapewne z oburzeniem odpartoby bezprawne uroszczenia pedagogów, którzyby — dla „unikania dysonansów” — zwrócili się do arcybiskupa Popiela z życzeniem takiej przeróbki katechizmów, któraby odpowiadała nowoczesnym pojęciom o prawach przyrody, o początku i dziejach ziemi, o ewolucji istot organicznych...

Jeżeli arcybiskup Popiel w swym okólniku nie popełnił autodenuncjacji, to może być zupełnie spokojnym: nasz przedruk mu nie zaszkodzi, (słowo *autonomja* już spowszedniało po 1905 roku i nikogo na nic nie naraża). Nigdy nie zaniedbywaliśmy zaznaczać i zawsze gotowi jesteśmy poświadczyć, że z punktu widzenia najbardziej wymagającej policji — na słońcu jego „prawomyślności” niema żadnej plamy.

Znaczenie symptomatyczne lokautu budowlanego.

Miarą doniosłości ostatniego zatargu ekonomicznego było powszechne i długotrwałe zainteresowanie, ujawniające się zarówno w kołach przemysłowców i robotników, jak i wśród postronnego ogółu. Świadczy to o tym, że *contre — grève* przedsiębiorców budowlanych nie jest drobnym epizodem, nie mogącym wywrzeć znaczniejszego wpływu, lecz całym zdarzeniem, które odbije się niewątpliwie na przyszłych losach walki ekonomicznej. Lokaut ostani jest tym znamienniejszy, że odbył się w okolicznościach wyjątkowo nieprzychylnych dla strony atakowanej. Ruch robotniczy, oprócz tego że został rozbity podczas burzy politycznej, jest nad to dławiony obecnie przez reakcję społeczną; dyskredytuje się go nietylko dlatego, że nie przyniósł pożądanych wyników, lecz również i z tego powodu, że przedstawia siłę potencjalną, zdolną w ważniejszych momentach ujawniać się nazewnątrz i dokonywać oddzielnych czynów, które chronią ruch od ostatecznej zagłady. Jest to żywioł społeczny, którego siłą fizyczną zniszczyć nie można; pokonany częściowo — odradza się w następnej chwili z podwójną siłą, rośnie i toruje dla siebie nowe łożyska. Ani oręż, ani prawo wyjątkowe nie jest zdolne usunąć potrzeb, których zaspokojenie jest nieodzownym warunkiem istnienia całej warstwy społecznej. Dlatego też ruch robotniczy (zawodowy i polityczny), utopiony we krwi podczas komuny paryskiej, wypłynął ponownie w kilka lat po katastrofie; podobnie ten sam ruch, będąc skrępowany przez niemieckie prawa wyjątkowe, w krótkim przeciągu czasu rozsadził je siłą swego rozwoju i zmusił klasy panujące do wyrzeczenia się tej wyjątkowo nieprawnej opieki. Podobnie i u nas dzieje się w chwili obecnej. Istniejące organizacje zawodowe wskutek panujących stosunków politycznych i społecznych obejmują nieskończenie małą cząstkę klasy robotniczej. W porównaniu z organizacjami zawodowymi (nawet w krajach mało uprzemysłowionych) przedstawiają one nikłe karykatury pod wszystkimi względami. Zdawaćby się mogło, że niezdolne są one ani do samodzielnych wystąpień, ani też do odbicia ataków. Tymczasem przebieg lokautu budowlanego świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Nie bacząc na zorganizowane wystąpienie przemysłowców, robotnicy utrzymali się na zajętym stanowisku i zmusili lokaucistów do szukania nowej drogi wyjścia. Taki obrót rzeczy ma jednak swoje objaśnienie w przeszłości. Do ostatnich czasów walkę ekonomiczną prowadziły wyłącznie stronnictwa polityczne, które działały w ukryciu i w sposób niewidoczny panowały nad masą. Szersze sfery robotnicze, nieobjęte organizacją, ufały bezwzględnie niewielkim grupom, stykającym się bezpośrednio ze sztabem partyjnym. W chwilach zatargów nakaz stronnictwa był dostateczną miarą, do której dobrowolnie stosowali się strajkujący i wypełniali przepisy i warunki walki.

Wystarczało więc pewne oparcie organizacyjne dla rozwinięcia akcji, prowadzonej przytym bez poważniejszych zasobów pieniężnych i odpowiedniej administracji. To samo dało się zauważyć obecnie — z tą tylko różnicą, że akcją kierował związek zawodowy, nie zaś stronnictwo polityczne. Masa, wyszkolona poprzednio i przyzwyczajona do prowadzenia walki w niesłychanie trudnych warunkach politycznych i policyjnych, obyć się mogła z łatwością bez środków, niezbędnych dziś dla robotnika zachodnio-europejskiego. Wskutek tego wybuch zatargów ekonomicznych

---

ciu ani przez chwilę, przyjęłam je z niezupełnie jeszcze zgasłym poczuciem swej wyższości.

Spostrzegł moje znużenie. Trzymał mnie w ramionach, szeptał mi słowa miłości, a ja słuchałam...

Nie mogłam przypuścić, że jestem ofiarą wyrachowania. Sądziłam, że miłość była przyczyną wszystkiego... A ja byłam tak nieprzygotowana na przyjęcie tego tajemniczego gościa! Ach, bo naprawdę mało znałam życie — zbyt wpatrzona w ojca! Nie myślałam nigdy o swej przyszłości: kobiety. I oto, stałam się nią nagle, kiedy nie mogłam powierzyć sie już ojcu, kiedy cała nasza przeszłość traciła wartość w mych oczach, kiedy matka nie mogła już ani wysłuchać mnie, ani oświecić.

Ani przez chwilę nie myślałam o odkryciu przed tą nieszczęśliwą mej strasznej tajemnicy. Cierpiała i tak dosyć, zamknięta w swym bólu!

Ojciec zdawał mi się teraz tak dalekim... z bólem ukrywać musiałam przed nim wstrząsającą mną burzę.

Sama, w ciszy swego pokoju, poddawałam się jakiejś autosugiestji, rodzajowi nawpół świadomego szaleństwa.

Był-że to wpływ nagłego wstrzęśnienia fizjologicznego? Wspomnienia, jakie mi pozostały, są jakby wspomnieniem gorączki... Nie przypominam sobie kiedy powiedziałam sobie po raz pierwszy, że muszę, być może, odwzajemnić uczucie tego człowieka, oddać mu się nazawsze, przyjąć ucieczkę, którą mi proponował, oderwać się od wszystkiego co dotychczas było treścią mego życia... Zaczynałam przypuszczać, że może kocham go od wielu miesięcy nieświadomie; że, być może, pod niepozorną powierzchownością oczarowało mnie coś nieuchwytnego.

Potym mówiłam sobie, że może w tej przyszłości pełnej oddania się i miłości, nigdy przedtym nie odczuwanej, było ocalenie, spokój i radość! Jego żona... Czyż nią już nie byłam?

Ten małżonek legiendowy, który wydawał mi się zawsze dziecinną postacią, istniał: był nim on!

Spostrzegł, że sprawa jego tryumfuje, i, być może, nie zdziwił się bardzo. Zadrżał jednakże. Teraz, pewniejszy, pełen nadziei, podniecał wynurzenia z mej strony pełne, górnolotnych i jednocześnie dziecinnych wyrazów. Wybiegające na usta pytanie o wyjaśnienie, wytłumaczenie tego, co się stało, przerywał gwałtownymi pocałunkami, powtarzając mi uroczyście, że całe jego życie nie starczy na odwdzięczenie się za danie mu mego życia; i znowu starał się zdobyć mnie,

u nas jest łatwiejszy—i trudniejszy do opanowania bez czynienia ustępstw. Dlatego też przemysłowcy budowlani, występując zbiorowo, zgrupowani we własnym związku zawodowym, przeznaczonym wyłącznie do obrony interesów kapitalistycznych, musieli jąć się wszystkich środków dla przeprowadzenia swych żądań. Przedewszystkim więc zastosowali lokaut, następnie postarali się o urobienie opinji publicznej w duchu swoich intencji, nie pogardzili nawet delikatną denuncjacją — dowodząc, że poza plecami murarzy stoją inne siły, *nie* robotnicze, które pracują na szkodę kraju, starali się wszelkimi sposobami zdyskredytować masę w oczach mieszkańców, przypisując jej wszelkie cechy niekulturalne, nieludzkie, niepatryjotyczne. Ci kulturalni europejczycy *pur sang*, odwołując się do opinji publicznej zapomocą wystylizowanych komunikatów, przenieśli na grunt nasz kapitalistyczną metodę kłamstwa, którą zdołali natchnąć niektóre organa prasy warszawskiej. Podkład dla tej metody był najwidoczniej wielce podatny, skoro w przeciągu kilku dni—nieokreślone, pozbawione zasad i kierunku pewne pisma zdołały się przekształcić w organa bezpłatnego paszkwilu i ideowego kuglarstwa. Jest to zasługa związku zawod.-przemysł.-budowl., który przyczynił się w sposób bezpośredni do świetnej krystalizacji prasy warszawskiej i zmusił ją do wyraźnego wypowiedzenia się w kwestji pozornie nieważnej, w gruncie rzeczy jednak doniosłej i zasadniczej. Nie chodzi tu tylko o 8-io czy 9-io — godzinny dzień roboczy, lecz także i o stanowisko wyraźne wobec wzajemnych stosunków między pracą i kapitałem. Obecnie nie wystarcza już maska obłudy patryjotycznej, jaką posłużyli się tym razem przemysłowcy; jest ona już tak zużytą, wytartą, tak pospolitą szmatą ogólnie znaną, że jednostki czy grupy całe, pod nią się ukrywające, zostały na wszystkich maskaradach społecznych bezlitośnie zdemaskowane.

Zarówno przemysłowcy jak i pisma, będące na ich usługach, są tyle cyniczni, że starali się pozyskać naiwność publiczną dla swoich spekulacji, wmawiając w nią, iż tu nie chodzi o zwykły interes materjalny, lecz o dobro powszechne i korzyści społeczne. Pod tym względem nie są oni europejczykami (za których gwałtem uchodzić pragną). Na Zachodzie stosunki między pracą i kapitałem są już tak skrystalizowane, że przedsiębiorcy, proklamujący lokauty, nie odważą się wmawiać w publiczność bezstronną, że czynią to z pobudek „patryjotycznych" przedewszystkim w jej interesie. Zatargi ekonomiczne, o ile rozwiązywane są w sądach rozjemczych, kończą się z rachunkami w ręku; przemysłowcy wykazują pozycje zysków i strat jakie powstać mogą przy krótszym lub dłuższym dniu roboczym, przy wyższej lub niższej skali płacy.

U nas zaś wskutek tego, że struny narodowe i patryjotyczne są najczulsze, lada aferzysta uderza w nie — w przekonaniu, że dźwięk ich da się słyszeć we wszystkich kołach społecznych. Lecz obecnie ten stan rzeczy zmienia się na lepsze. Świadczy o tym przebieg i epilog lokautu. Przemysłowcy nie zwyciężyli — pomimo uczynionej wrzawy z powodu „zagrożonych interesów narodowych" i zmuszeni zostali sprawę *czysto ekonomiczną* powierzyć *sądowi rozjemczemu*. Tam zaś jak najmniej mówić się będzie o konieczności uspołeczniania niekulturalnych murarzy, o ich antypatryjotyzmie, lecz przedstawi się księgi buchalteryjne, wykaże się pozycje zysków, jakie osiągnięte zostały przy ośmiogodzinnym dniu pracy. Ten sąd rozjemczy, jakoteż i krystalizacja opinji społecznej, są wielce pożytecznymi wynikami lokautu. Symptomatyczne jego znaczenie polega na tym, że odbył sie w warunkach organizowanej walki, prowadzonej przez związki zawodowe przemysłowców i robotników według określonego planu i metody. To zaś znamionuje obopólne zrozumienie znaczenia organizacji jako konkretnej siły, niezbędnej przy przeprowadzaniu dążeń ekonomicznych.

Henryk Lukrec.

Kwestja rusińska w Galicji.

(Ciąg dalszy).

Rewolucja 1848 r. została zgniecioną, a postulaty Rusinów jak Polaków nieurzeczywistnione.

Nastały czasy reakcji, w których zarówno życie narodowe Polaków jak i Rusinów słabym biło tętnem. Kiedy zaś w końcu szóstego i na początku siódmego lat dziesiątka wieku XIX począł się w Austrji ugruntowywać na nowo, pod wpływem zewnętrznych klęsk, ustrój konstytucyjny; kiedy Polacy, skutkiem okoliczności, o których nie miejsce tu mówić, uzyskali pewien wpływ w sferach rządowych — Rusini byli odosobnieni i żadnej pomocy od rządu nie mieli. W tym to czasie powstał wśród nich kierunek tak zwany moskalofilski, którego gienezą była rozpacz w połączeniu z chęcią zaakcentowania swej odrębności narodowej od Polaków.

Lecz... początek był zbyt ohydny i nie oddawałam mu się więcej.

Moja zaledwie budząca się wstydliwość kobieca nie cierpiała jeszcze głęboko; przeciwnie—czułam niejasną dumę i podtrzymywałam z rozpacznym uporem żądzę, którą wzbudziłam.

Ojciec spostrzegł me roztargnienie i niepokój; niespodzianie dotrzymał słowa i zmusił mnie do przerwania pracy biurowej.

Gwałtowne rozstanie się podnieciło mnie jeszcze bardziej; zdawało mi się, że przeżywam najokropniejsze dni życia; potym udało mi się zawiązać korespondencję z kolegą. Skłonił mnie on do wtajemniczenia matki w nasze uczucie.

Mama smutna, przygnębiona, zdawała się pić jakby ze źródła młodości, słuchając zakochanego dziecka. Czy wywoływała w pamięci swe lat dwadzieścia? Czy odnajdywała swe utracone szczęście, jaśniejące nad głową swego dziecka? Czuła bezwiednie, że po raz pierwszy jakaś cząstka jej samej drgała we mnie w tej chwili. Nie mogła przypuścić nawet dramatu, jaki wstrząsnął mą młodością; myślała i ona o uczuciu, nagle rozkwitłym w mym sercu.

Patrzałam na nią z serdecznym smutkiem, z rodzajem lekkiej obawy o siebie samą, czując się słabą jak ona, zadając sobie pytanie czy przeznaczono mi większe, niż jej szczęście, czy oddając się miłości—nie łudzę się tak, jak i ona

Kiedy powiedziała ojcu, zdawał się do tego nie przywiązywać wagi, nie wierzył prawie. Lecz ja i mój smutny bohater staraliśmy się przekonać go piśmiennie i ustnie, że połączenie się było teraz jedynym celem naszego życia. Gniew jego wybuchł gwałtownie, lecz i on nie podejrzywał prawdy; jakże mógł przypuścić tak zbrodniczą odwagę w swym podwładnym, on, który uważał się za postrach wszystkich co się doń zbliżali? Myśl wszakże, że ukochana jego córka — nauczona pogardzać wszystkimi urojeniami, i liczyć w walce życiowej jedynie na własne siły, uległa tak głupiemu uczuciu, doprowadzała go do rozpaczy.

Nie poczuwał się bezwątpienia do winy, chociaż on to pozbawił mnie serdecznej opieki wtedy, kiedy była mi najbardziej potrzebną. Cierpiał. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co się działo wkoło niego, ani nie umiał zaradzić. Czuł że został sam, że odmówiono mu wszelkiej wdzięczności. Im bardziej zbierało się

Ówcześni moskalofile utrzymywali, że Rusini stanowią tylko odłam narodu rosyjskiego, że język ich ludowy jest tylko narzeczem wielkorosyjskiego, wobec tego powinni dążyć do zlania się z narodem rosyjskim potężnym i prawosławnym.

Urok Rosji w Galicji był naówczas silny, gdyż świeża była pamięć kampanji rosyjsko-węgierskiej. Kierunek moskalofilski nie zapanował jednak powszechnie i niepodzielnie wśród Rusinów. Uświadomione żywioły demokratyczne trzymały się wytrwale polityki ściśle narodowej, uważając się za naród odrębny zarówno od Polaków, jak i Rosjan; język ludu uznawali za swój język — byli to narodowcy. Z początku stanowili wśród inteligiencji mniejszość, później stali się większością.

Powstanie kierunku moskalofilskiego wśród Rusinów galicyjskich ułatwiło w znacznym stopniu zdobycie stanowczej przewagi Polaków nad nimi, gdyż rząd austryjacki przestał z nimi kokietować i oparł się na Polakach, których uważał za żywioł przyjazny państwu.

Pierwsze pismo narodowców powstało w 1862 r., nie mogło się jednak czas dłuższy utrzymać; po jego upadku powstawały nowe, które znowu upadały; dopiero założona w 1867 roku *Prawda* przetrwała czas dłuższy, a kiedy przestała wychodzić w 1880 r, prasa rusińska miała już w społeczeństwie stanowisko utrwalone. W ósmym lat dziesiątku narodowcy tworzą już poważną siłę.

Przedtym jeszcze powstały towarzystwa „Proświta" oraz „im. Szewczenki", pierwsze miało na celu wydawanie książek dla ludu, drugie — prac naukowo-literackich. Do końca ósmego dziesiątka lat narodowcy zajęci byli wyłącznie prawie pracą kulturalną, później zaczęli się zajmować polityką.

Powodzenie narodowców było naturalnym i koniecznym wynikiem demokratyzowania się Austrji i Galicji. Demokratyzacja społeczeństwa wysuwa na arenę życia politycznego lud, który nabiera stopniowo coraz większego znaczenia.

Rusini od wieków tworzyli plemię odrębne, posiadali swój język i kulturę własną, ponieważ jednak warstwy wyższe i większość średnich uległy wynarodowieniu — więc nosicielami, że tak powiem, narodowości rusińskiej stali się wyłącznie prawie chłopi a po części drobnomieszczanie. Póki istniało poddaństwo, póki panował absolutyzm, masy chłopskie były całkowicie skrępowane i pozbawione politycznego znaczenia. Dopiero wraz z uwłaszczeniem włościan i utrwaleniem się konstytucji — chłopi stopniowo zaczęli się rozwijać kulturalnie, jako tako organizować i odgrywać rolę polityczną.

Wtedy też stali się narodem politycznym o określonych aspiracjach, który przeciwstawiał się innym i rozwijał stosunkowo szybko własną kulturę w różnych kierunkach.

W powstaniu narodu rusińskiego nie było nic sztucznego, nic „robionego". Wszystko odbywało się w sposób naturalny. Proces tworzenia się narodu rusińskiego został opóźniony o kilka wieków przez to, że wyższe warstwy uległy wynarodowieniu. *Właściwie należałoby powiedzieć, że narodowe życie Rusinów zostało na kilka wieków, skutkiem powyższej przyczyny, prawie że przerwane.*

Zjawisko podobne widzimy i gdzieindziej. Dość wspomnieć Czechy, Serbję, Litwę, Łotwę, Estonję i t. p. Wprawdzie Czesi mieli już wybitną indywidualność narodową przed bitwą pod Białą-Górą, a Rusini utracili byt państwowy zanim zdążyli wytworzyć i utrwalić silną indywidualność polityczno-kulturalną. Jest to jednak tylko różnica stopnia.

Rozwój narodu rusińskiego jest koniecznością dziejową. Jedynym kryterjum tego, czy pewna grupa społeczna jest narodem, albo nie, może być tylko wewnętrzne przekonanie członków tej grupy.

Ani język, ani religja, ani państwowość, ani żaden inny objaw objektywny nie może jeszcze być tu rozstrzygający.

Irlandczycy używają angielskiego języka a jednak nikt nie zaprzeczy, że są narodem. Przykładów na uzasadnienie powyższej tezy przytoczyćby można wiele.

Niektórzy twierdzą, że fakt istnienia między Rusinami stronnictwa moskalofilskiego, które nie uznaje odrębnego narodu Rusińskiego, Małoruskiego, albo Ukraińskiego (wszystkie te nazwy dotyczą tego samego narodu) — dowodzi jakoby, że istotnie Rusini narodem nie są.

Rozumowanie powyższe nie wytrzymuje krytyki: stronnictwo moskalofilskie było wytworem sztucznym, powstało nie bez zewnętrznego oddziaływania i z biegiem czasu topniało coraz bardziej. Dziś jeszcze trzyma się dzięki temu, że należą do niego żywioły zasobne z pośród Rusinów, że posiada w różnych dawno założonych instytucjach fundusze, że wreszcie w ostatnich czasach za namiestnika Potockiego, podczas wyborów do Rady Państwa w Wiedniu i do Sejmu we

---

nad jego głową ogólne oburzenie, tym bardziej, za wszelką cenę, chciał odnieść zwycięstwo.

Matka wprawiała go w zdumienie, broniąc mej sprawy. Mama zdawała się mówić: „Jestem stara, będę babką, spokój napełni jeśli nie biedne me serce, to duszę; życie będzie jeszcze dla mnie miało powab—byle by córka moja była szczęśliwą, bylebym mogła myśleć o jej dzieciach."

Ojciec nie mówił ze mną. Zrozumiałam, że umarłam dla niego, że żegnał nazawsze marzenia, jakie wił nad mą głową...

Konkurentowi memu odpowiedział, że nie pora jeszcze mówić o małżeństwie; miałam rok szesnasty, — musimy czekać jeszcze lat kilka; lecz, że może bywać w naszym domu i towarzyszyć nam na przechadzkach. Co zamierzał mój przyszły mąż? Czy znaleźć gdzieindziej zajęcie bardziej odpowiednie? Czy próbować karjery rządowej? Ojciec uprzedził go, że nie da żadnego posagu. Tymczasem może jeszcze pracować w biurze...

Przypuszczałam, że on opuści biuro, wystara się natychmiast o inną posadę, choćby w innym mieście. Nic zrobił jednak tego; nie czuł, jak niegodnym było pozostawanie w zależności od przyszłego teścia, którego postępowanie potępiał... Był przekonany, że ojciec da mi pewną sumę po wyjściu za mąż...

Przychodził do nas każdego wieczoru, jako urzędowy narzeczony. Z ojcem nie spotykał się prawie nigdy, gdyż ten wychodził z domu jeszcze przed skończeniem obiadu. Wokoło stołu dzieci uczyły się lub bawiły, matka moja i ja haftowałyśmy; „narzeczony" bawił się doprowadzaniem mnie do zniecierpliwienia stałym przeczeniem mi w rozmowie. Od czasu do czasu dawał mi przelotny pocałunek, nie zwracając uwagi na protesty matki i na śmiech dzieci. Około dziesiątej rozstawaliśmy się po długim uścisku w ciemnym przedpokoju, dokąd ja tylko odprowadzałam go; czasami drżącymi rękami chwytał me ramiona, wywołując wtedy dreszcz przerażenia...

W pierwszych tygodniach szeroko rozprawiano o naszym stosunku; moje nagłe opuszczenie fabryki najzłośliwsi tłumaczyli jako następstwo pewnego odkrycia, uczynionego przez ojca. Czyż rok temu nie szkalowali mnie również, mówiąc, iż miłość ojca dla mnie była więcej niż ojcowską? Czyż nie rozkoszowali się ohydnymi potwarzami? Rodzice nic o nich nie wiedzieli. Wobec naiwnego ich spokoju czułam wzra-

Lwowie — konserwatywne żywioły polskie popierały moskalofilów przeciwko narodowcom rusińskim.

Stronnictwo moskalofilskie rekrutuje swych zwolenników przeważnie z zamożniejszej części mieszczaństwa, starszego pokolenia duchownych i niektórych osób należących do profesji wyzwolonych. Jeżeli zaś tu i owdzie chłop rusiński głosuje na moskalofila, to nie z przekonania, lecz z interesu, albo z obojętności... Wszak są takie okręgi wyborcze, w których rusiński chłop głosuje na polskiego pana. Zresztą moskalofile do ludu przemawiają po rusińsku a nie po rosyjsku i swoich idei politycznych, dotyczących Rosji, podczas wyborów przed nim nie rozwijają.

Ten sam proces dziejowy, który doprowadził do ruchu narodowego polskiego na Śląsku pruskim — prowadzi do ruchu narodowego rusińskiego w Galicji Wschodniej.

Kiedy narodowy ruch rusiński wzmógł się i rozpoczął akcję polityczną, napotkał opór ze strony Polaków i wszedł koło 1880 r. w sojusz z moskalofilami, co miało skutki ujemne i było między innymi powodem jego zróżniczkowania się w przyszłości.

Nadmienić należy, że narodowcy — zwłaszcza w ósmym dziesięcioleciu XIX wieku, otrzymywali pomoc od swych rodaków z państwa rosyjskiego. Naprzykład Towarzystwo im. Szewczenki, wspomniane wyżej, zostało założone przeważnie za pieniądze pochodzące od Rusinów, mieszkających w Rosji. Wydawnictwa rusińskie w Galicji zasilali swymi artykułami ludzie stamtąd.

Bardzo ważny wpływ na Rusinów galicyjskich miał prof. Dragomanow, który opuścił Rosję i przemieszkiwał w Wiedniu, potym w Genewie. On to pogłębił narodowy ruch rusiński zaszczepiając w nim socjalny radykalizm zachodnio-europejski.

Dragomanow był gorącym zwolennikiem konstytucjonalizmu, federalistą, demokratą żądającym szerokich reform społecznych, nie cofającym się nawet przed ideją przekształcenia całkowitego obecnego ustroju społecznego. On był właściwie duchowym ojcem radykalnej partji rusińskiej.

Od roku 1890 za namiestnictwa Kazimierza hr. Badeniego narodowcy rusińscy zrywają sojusz z moskalofilami i wchodzą w porozumienie z Polakami, ściślej mówiąc, z partjami rządzącymi. Porozumienie to dało im niektóre koncesje, jak kilka gimnazjów rusińskich i tyleż katedr przy uniwersytecie lwowskim. Sojusz ten jednak był nietrwały: polskie żywioły konserwatywne nie miały zamiaru rozszerzać tych ustępstw i sądziły, że na czas bardzo długi Rusini się nimi zadowolą; dla Rusinów zaś były one naturalnie tylko pierwszym krokiem.

Narodowcy rusińscy w okresie między r. 1890 a 1900 r. poszli ogromnie na lewo, przejmując prawie wszystkie punkty programu partji radykalnych. Okoliczność ta bardziej jeszcze oddalić ich musiała od rządzących sfer polskich w Galicji, bardzo w tym czasie konserwatywnych. W ten sposób antagonizm rusińsko-polski zaostrzał się; jednakowoż do 1900 roku nie miał jeszcze tych cech gwałtownych, co obecnie. Zjawienie się narodowych demokratów na gruncie galicyjskim, ich ideały bismarkowskie dolały oliwy do ognia. Orgja szowinizmu polskiego pogorszyła stosunki polsko-rusińskie i wywołała ze strony przeciwnej również objawy szowinizmu i nienawiści plemiennej, tym zrozumialsze, że Rusini w Galicji stanowią wobec Polaków stronę słabszą i upośledzoną...

Zobaczmy teraz jakie są zdobycze Rusinów w Galicji, jakie są ich pragnienia i potrzeby, i jak na nie reagują stronnictwa polskie, poczynając od konserwatywnych a kończąc na socjal demokracji Galicji i Śląska.

II.

Według spisu z 1900 r. w Galicji było: osób przyznających się do narodowości polskiej 3,989,000 czyli 54,8 proc. ogółu ludności; do narodowości rusińskiej 3,074,000 t. j. 42,2 proc. tej ludności. Liczby te o ile nie są dokładne, to raczej na niekorzyść Rusinów niż Polaków—dlatego, że po pierwsze, Polacy mieli wpływ decydujący na mechanizm powyższego spisu; po drugie część niezasymilowanych jeszcze Żydów podała się raczej za Polaków niż za Rusinów. Niezawodnie jednak Polaków w Galicji jest więcej niż Rusinów — prawie o miljon. W Galicji Zachodniej, stanowiącej terytorjum zupełnie polskie — Rusini w kilku tylko powiatach stanowią poważną mniejszość. W całej Galicji Zachodniej jest ich tylko 77,000, to jest 2,5 proc. ogólnej liczby w kraju; Polaków zaś jest 2,370,500, czyli 59,4 proc. wszystkich Polaków w Galicji. Galicja Wschodnia stanowi terytorjum nie tak jednolite jak Zachodnia: Rusinów mieszka w niej 2,997,000, to jest 97,5 proc. ogólnej ich liczby; Polaków zaś 1,618,000, czyli 40,6 proc.

W Galicji	Zach.	Polacy	stanowią	95	proc.	ogółu ludn.
„	„	Rusini	„	3,1	„	„
„	Wsch.	Polacy	„	33,7	„	„
„	„	Rusini	„	62,5	„	„

---

stający we mnie wstyd; gdybyż przynajmniej mój „narzeczony" wystąpił przeciw oszczercom!

Przeciwnie, zdawał się nie zwracać na to uwagi; zmienił jednak swe postępowanie z towarzyszami, jakby nagle wzrosła jego godność.

Zazdrościli mu oni, a jednocześnie byli zadowoleni, że jeden z współmieszkańców upokorzył dumną rodzinę przybyszów. Przechodząc koło klubu, zauważałam szydercze spojrzenia, którymi mnie obrzucano, i duma moja nie umiała już przeciwdziałać. On śmiał się, nazywając mnie głupią. Śmiał się również, gdy powtórzyłam mu to, co dopiero wtedy doszło do mych uszów: że shańbił dziewczynę, która potym chciała dla niego odebrać sobie życie. I nie starał się ani bronić mnie, ani tłumaczyć!

Mijały miesiące i plotki ucichły. Zresztą byłam teraz zupełnie usuniętą od życia miejscowego; narzeczony mój, zazdrosny, wymagał odemnie tysiąca śmiesznych ofiar: nie wolno mi było wyglądać oknem, musiałam chować się w swym pokoju, gdy przychodził jaki mężczyzna, nie wyłączając doktora matki. Indywidualność moja, dotychczas tak niezależna, buntowała się, lecz po to tylko, by tym bardziej dać mi odczuć mą porażkę.

Do przyjaciółek jednak pisałam o swym szczęściu. Chciałam oszukać samą siebie. Podniecałam mą fantazję aż do upojenia!

Kochać! kochać go! pragnęłam tego całą siłą, nie zastanawiałam się nad żadnym z wielu przykrych wrażeń, których mi dostarczał mój narzeczony. Odkrywałam w nim mnóstwo wad, których przedtym nie podejrzywałam; wiedziałam, że jest niewykształcony, lecz sądziłam, że umysł jego jest bardziej giętki. Głównie charakter jego rozczarował mnie: było w nim coś nieuchwytnego, dwulicowego i mała myślicielka, jaką byłam zawsze, miałam nieraz odruchy zdziwienia nie pozbawione wzgardy; opanowywałam je jednak szybko. Chciałam wierzyć w swe szczęście teraźniejsze i przyszłe; chciałam widzieć miłość piękną i wielką; tę miłość! wiosenną, która dla szesnastoletniej dziewczyny zawiera tajemniczą poezję życia!

Twarz moja pobladła, okolona odrastającymi włosami traciła swój wyraz, swą niepospolitość. Czyż doprawdy był czas, kiedy mogłam zawsze, gdy chciałam, pójść nad morze i godzinami całymi i grać z falami, błądzić w polu i lesie, zatopić się w marzeniach o pracy i pięknie... nieskończonym?...

Teraz dni płynęły w ciągłej ciszy mego pokoiku.

Jeżeli nawet liczbę Polaków w Galicji Wschodniej uznamy za przesadzoną, jeżeli przypuścimy że do niej zaliczono pewną część niezasymilowanych Żydów i Rusinów, i oprzemy się na statystyce wyznaniowej t. j. za Polaków uznamy tylko rzymskich-katolików, to i wtedy jeszcze otrzymamy w tej części kraju poważną liczbę Polaków 1,138,000, co stanowi 23,6 proc., czyli prawie jedną czwartą część ludności. Rzeczywistą liczbę Polaków w Galicji Wschodniej wykazuje zapewne jakaś pośrednia między 1,618,000 a 1,138,000.

Galicja Wschodnia w rozmaitych swych częściach różni się znacznie pod względem narodowościowym, tworząc jakby cztery następujące terytorja:

1) Obszar czysto rusiński z 7 powiatów górskich: Turka, Dolina, Nadwórna, Kosów, Bohorodczany, Peczeniżyn, Śniatyn oraz Jaworów między Przemyślem a Gródkiem. W tych powiatach Polacy stanowią średnio 8 proc. ogółu ludności.

2) Obszar mieszany, w którym Rusini stanowią znaczną większość ludności a Polacy mniejszość od 16 do 36 proc. Obejmuje on 17 powiatów, nie stanowiących jednego zwartego terytorjum.

3) Obszar mieszany, w którym obok większości rusińskiej jest bardzo poważna mniejszość polska, wynosząca od 30 do 49,3 proc. ogółu ludności. Powiaty te łączą się ze sobą terytorjalnie od Sanu aż do granicy wschodniej.

4) Obszar polski, w którego skład wchodzą: miasto Lwów oraz dwa powiaty. Na nim Polacy, nawet rzymscy-katolicy, stanowią większość.

Obliczenia i rozróżnienia powyższe zrobił prof. Głąbiński. Polacy w Galicji Wschodniej zaludniają przeważnie miasta i grunta będące w posiadaniu wielkich właścicieli ziemskich; zamieszkują jednak i gminy wiejskie. (Dotychczas wielka własność ziemska w Galicji tworzy odrębne, tak zwane obszary dworskie i nie wchodzi w skład gmin wiejskich). Na obszarach dworskich w Galicji Wschodniej w 1900 r. mieszkało 196,000 ludzi, z których 128,000 mówiło po polsku, katolików-rzymskich było 81,000. W gminach wiejskich w Galicji Wschodniej Polaków było 1,003,000 (26 proc.), katolików-rzymskich 798,000 (21 proc.); w miastach Polaków 487,000, katolików-rzymskich 259,000.

Ogromną większość Rusinów stanowią włościanie-właściciele, najemnicy na wsi i w mieście; jest ich sporo wśród drobnomieszczaństwa. Natomiast stosunkowo mało należy do wyższego mieszczaństwa i do profesji wyzwolonych.

W czasach ostatnich świecka inteligencja rusińska liczebnie wzrasta, co jest zjawiskiem bardzo ważnym. Dawniej jedynie prawie duchowieństwo unickie stanowiło jej rdzeń. Ogromną większość narodu rusińskiego stanowią: włościanie, robotnicy i drobnomieszczanie.

Powyższe uwarstwowienie narodu Rusińskiego nadaje mu cechy społeczeństwa wysoce demokratycznego, które przedstawia grunt bardzo przyjazny dla rozwoju wszelkiego rodzaju radykalizmu.

Rusini posiadają w Galicji pewne prawa i instytucje, korzystne dla ich rozwoju narodowego, które jednak obecnie są już niedostateczne. Mogą posługiwać się językiem rodowitym w administracji i sądownictwie; jakkolwiek językiem urzędowym władz jest polski, jednakże rusiński jest drugim językiem krajowym. W sejmie posłowie rusińcy mówią po rusińsku.

W gminach wiejskich, stosownie do woli jej członków, język rusiński może być panujący. Rusini posiadają szkoły ludowe, w których wykłady odbywają się po rusińsku. Liczba tych szkół nie jest zupełnie wystarczająca, jednakże w stosunku do Polaków Rusini nie są w szkolnictwie ludowym poszkodowani. Natomiast posiadają bardzo nieliczne średnie zakłady naukowe, których jest w całej Galicji kilka (5), podczas gdy polskich kilkadziesiąt (z górą trzydzieści). Na tym punkcie dzieje się Rusinom prawdziwa krzywda.

Ze strony polskiej podnoszono nieraz w obronie istniejącego stanu rzeczy fakt, że gimnazja polskie są przepełnione, a rusińskie mają znacznie mniej uczniów. Argument ten pozornie jest bardzo poważny, w istocie rzeczy nie może usprawiedliwić małej liczby średnich rusińskich zakładów naukowych.

(c. d. n.). *Ludwik Kulczycki.*

Reforma rolna w Rosji.

Reforma rolna, zapoczątkowana w roku 1907 przez rząd, a poparta z drobnymi modyfikacjami przez 3-cią Dumę, miała w sobie tę fatalną cechę, iż w równej — a może nawet w większej mierze podyktowana była względami czysto politycznymi, niż gospodarczymi. Chłop rosyjski jest ciemny i głodny; poddaje się wskutek tego bardzo łatwo wpływom wywrotowych

---

Szykowałam wyprawę i nieraz długie chwile przyglądałam się zdziwiona swym rękom, spoczywającym na białym muślinie. Moja przyszłość mężatki nabierała kształtów; ojciec łatwiej, niż przypuszczałam, decydował się wydać mnie zamąż w ciągu kilku miesięcy. Byłam gotowa; nie przerażał mnie oczekujący mnie niedostatek, nie czułam żadnego wyrzutu opuszczając swoich, mą matkę coraz słabszą, coraz niespokojniejszą, moje rodzeństwo pozbawione miłości i opieki...

A co odczuwał mój narzeczony? Może budził się w nim pewien szacunek dla istoty skradzionej? Może w swej miłości własnej łudził się, że może mnie uczynić szczęśliwą?

Zdecydowany nie porzucić posady w fabryce, liczył — na podwyżkę pensji i na przyszłe zajęcie miejsca ojca. Długo rozprawiał o posagu, w końcu musiał dać za wygraną i zgodzić się jedynie na pewną sumę miesięcznie. Chciał zabezpieczenia prawnego, ale ojciec, oburzony, omal nie zerwał wszelkich układów. Narzeczony mój nie posiadał nic; zaledwie wystarczyło mu na zaopatrzenie się w garderobę i na kupno ślubnego pierścionka. Ojciec dał pieniądze na umeblowanie. Moi przyszli krewni mieszali się jedynie po to, by dziwić się że hojność nasza jest mniejsza, niż przypuszczali.

Położenie stawało się coraz przykrzejszym dla wszystkich: po cóż je przedłużać? Ślub został wyznaczony na koniec stycznia.

Prawie rok upłynął od cichej tragiedji, o której z ust moich nigdy słowo nie wyszło, nawet do winowajcy. Przygotowania przyśpieszało się bez radości. W przeddzień ślubu, ojciec—w chwili jednego z tych częstych obecnie napadów gniewu, złajał mnie surowo pod jakimś pozorem.

Wieczorem mama usiadła przy mym łóżku. Chciała przygotować mnie do tego, co miało nastąpić nazajutrz; przerwałam jej gwałtownie, pieszcząc jej siwe skronie, podczas gdy tłumione łkanie wstrząsało mną całą.

W dwadzieścia cztery godzin później—z mężem, patrząc z okna wagonu na bielejącą śniegiem wieś, myślałam o dwuch różnych cierpieniach, ukrytych w tym dniu pod uśmiechem—przed tymi, którzy przyszli składać życzenia...

W tej chwili rodzice moi płakali w swych samotnych pokojach.

(D. C. N.).

prądów socjalnych i politycznych. Niszczeniem majątków obywatelskich w latach 1904-ym i 1905-ym praktycznie przekonał wszystkich, że hasła przymusowego wywłaszczenia ziemi znajdują w nim bardzo wielki posłuch. Chodziło więc nie o to głównie, by tego chłopa uczynić oświeconym i sytym, lecz przedewszystkim, by drogą radykalnych reform, nie naruszających bynajmniej w niczym interesów większej własności ziemskiej, wyrwać grunt z pod nóg partji opozycyjnych i radykalnych, wytworzyć w masie włościańskiej dostatecznie silny element gospodarczy, z natury rzeczy konserwatywny, przeciwny wszelakim przewrotom socjalnym i politycznym — tak zwanego: *zamożnego chłopa*. Przy rozważaniu sprawy rolnej rząd zatym pozostał tak samo w płaszczyźnie politycznej, jak i jego antagoniści — partje radykalne i rewolucyjne. Narzucona niegdyś chłopom ze względów fiskalnych i policyjnych wspólnota okazała się z biegiem czasu wskutek ogólnej nędzy naturalnym gruntem pod zasiew haseł kollektywistycznych, z drugiej zaś strony, z powodu powszechnej ciemnoty i prymitywnej kultury rolnej, stała się poważnym hamulcem w rozwoju ekonomicznie silniejszych gospodarstw włościańskich — przyszłych Grossbauer'ów rosyjskich. Postanowiono przeto zniszczyć wspólnotę w tempie jak najszybszym, nie licząc się zgoła z wyrosłą na tym podłożu tradycją gospodarczą. Rząd postawił stawkę na „silnych"; los „słabych", którzy stanowią przecież ogromną większość masy chłopskiej, dla których wspólnota była rodzajem towarzystwa asekuracyjnego, i których zniesienie wspólnoty może zrujnować do ostatka — polecono pieczy Opatrzności.

Jakkolwiek należy przyznać, że na pewnym poziomie gospodarczym wspólne władanie ziemią istotnie może się stać bardzo poważną przeszkodą do dalszego doskonalenia gospodarki chłopskiej, tamując inicjatywę i zapobiegliwość jednostek, — wszakże nie podobna zaprzeczyć, że wspólnota rosyjska, jako taka, tylko w bardzo małym stopniu ponosi winę za powszechną nędzę i biedę chłopów rosyjskich: owszem, wielu poważnych i bezstronnych badaczy stosunków rolnych w Rosji przyznaje, że w ramach dzisiejszej wspólnoty bynajmniej nie jest wykluczony dość znaczny postęp gospodarczy. Istotne przyczyny ekonomicznego upadku włościaństwa rosyjskiego są powszechnie znane: tkwią one w przerażającej ciemnocie chłopów, w braku kultury ogólnej i gospodarczej, w dotychczasowej polityce agrarnej rządu, która opiekowała się li tylko interesami większej własności ziemskiej ze szkodą włościaństwa, w braku rozumnej pomocy ze strony państwa, wreszcie — w częściowym braku ziemi. Rzetelną reformę rolną należałoby zatym rozpocząć — po doraźnym zaspokojeniu najbardziej gwałtownych potrzeb włościaństwa — od możliwie szybkiego usunięcia tych podstawowych przyczyn nędzy chłopskiej, gdyż inaczej — każdy środek zaradczy będzie w najlepszym razie tylko paliatywem. Zniesienie wspólnoty, która była dla włościaństwa rosyjskiego czymś więcej, niż tylko formą gospodarczą, powinnoby się odbywać z wielką ostrożnością i rozumem, by wyzwalanie z jej pęt gospodarstw ekonomicznie „silnych" nie pogrzebało doszczętnie „słabych". Wszakże tego rodzaju polityka ekonomiczna wymagałaby znacznych ofiar z dotychczasowego systemu politycznego, czego przedewszystkim rząd rosyjski uniknąć pragnął.

Od zapoczątkowania reformy rolnej, którą partje radykalne ochrzciły mianem „wielkiego burzenia włościaństwa rosyjskiego"—upływa już 2 lata. Jaki jest stan reformy w chwili obecnej? Jaki wpływ wywiera na stosunki gospodarcze wsi rosyjskiej? Niestety, wyczerpującą odpowiedź na pytania powyższe może dać tylko przyszłość. W chwili obecnej — na podstawie lichych materjałów, publikowanych przez Bank Włościański i biurokratyczne z ducha komisje powiatowe do urządzeń rolnych, oraz na podstawie bardziej wiarogodnych obserwacji prywatnych — można skreślić tylko bardzo ogólnikowo dotychczasowy przebieg reformy i zaznaczyć niektóre symptomatyczne rysy nowopowstającego układu stosunków rolnych w Rosji.

W myśl prawa, obecna reforma agrarna ma dwa współrzędne zadania na celu: z jednej strony, usunięcie wad dotychczasowej organizacji gospodarczej na ziemiach nadziałowych (komasacja, zniesienie szachownic, przejście do gospodarki indywidualnej — folwarkowej i zagrodowej), z drugiej strony, zaopatrzenie w dostateczną ilość gruntu małorolnych za pomocą Banku Włościańskiego.

Pierwsza część reformy — nowa organizacja gospodarcza ziem nadziałowych wraz z przejściem do prywatnego władania ziemią — jądro ekonomiczne i socjalne całej reformy, wykonywana była dotychczas przez powiatowe komisje rolne pod względem *ilościowym* bardzo pomyślnie. W ciągu 2 lat ostatnich (1907 — 1908) otrzymały komisje przeszło 600 tysięcy zgłoszeń od poszczególnych gospodarzy z prośbą o „uporządkowanie" roli w myśl nowego prawa agrarnego. Wyraz „uporządkowanie" obejmuje w danym wypadku wszelakie wyżej wyszczególnione kategorje ulepszeń i zmian w gospodarce chłopskiej na ziemiach nadziałowych.

Wprawdzie, sama cyfra 600 tysięcy gospodarstw nie jest wysoką i stanowi zaledwie 5% ogółu gospodarstw włościańskich, lecz miarodajnym tu jest ogromnie szybki stopniowy wzrost zgłoszeń: a więc, w roku 1908-ym postąpiło zgłoszeń prawie 3 razy tyle, co w r. 1907-ym, zaś zestawienie robót rolnych, projektowanych do wykonania, w pierwszej połowie roku bieżącego do sierpnia obejmuje już przeszło pół miljona gospodarstw włościańskich Z pośród gospodarzy zgłaszających się do komisji powiatowych bardzo wysoki odsetek stanowi kategorja włościan, pragnących przejść do gospodarki *jednoosobowej — zagrodowej* i *folwarkowej*. I to jest właśnie bardzo znamiennym rysem w nowopowstającej strukturze gospodarczej Rosji.

W latach 1907-ym i 1908-ym kategorja powyższa stanowiła blizko *połowę* ogółu „urządzających się" gospodarstw; stosunek ten ulegnie prawdopodobnie tylko bardzo małej zmianie w przewidywanych robotach rolnych w roku bieżącym. Reszta gospodarstw ogranicza się narazie do *zbiorowego* „uporządkowania" roli — częściowej komasacji i ustalenia praw osobistych do posiadanych gruntów nadziałowych.

Niestety, w sprawozdaniu komisji do spraw rolnych nie znajdujemy prawie żadnych szczegółów, dotyczących poszczególnych kategorji robót, jakto: komasacja i t. p.

Z powyższego wynika wszakże, że nowe prawo rolne niewątpliwie zdobywa sobie szybko popularność wśród ludności włościańskiej—z tych czy innych pobudek. Obok częściowych ulepszeń w organizacji terytorjalnej swej gospodarki — chłop rosyjski zaczyna bardzo chętnie korzystać z przysługującego mu prawa zapisania gruntu nadziałowego na własność prywatną, którą może rozporządzać według własnego uznania czy potrzeby.

Zasługuje na specjalną uwagę ujawniony dotychczas znaczny pochop włościan do gospodarki zagrodowej i folwarkowej na ziemiach nadziałowych. Ruch ten, jak zresztą cały ruch rolny wśród włościan, szerzy się przeważnie w południowych, poł.-zachodnich i p.-wschodnich gubernjach państwa, to jest tam, gdzie wspólnota rosyjska najmniej względnie zapuściła korzenie lub była zupełnie nieznaną, aczkolwiek nie jest także obcy niektórym centralnym gubernjom, czysto wielko-rosyjskim, jak Orłowska, Tulska i inne.

Dotychczasowa praktyka trzyletnia wykazała, że dążenie do osiedlania się w folwarkach i zagrodach obejmuje jedynie średnio-zamożnych i zamożnych

włościan, których gospodarstwa wynoszą przeciętnie więcej niż 10 dziesięcin ziemi; wogóle zauważono, że gospodarstwa, liczące mniej niż 8 dziesięcin gruntu, nie zdradzają tendencji do wyodrębnienia na folwarki i zagrody i prawdopodobnie nie mogłyby się utrzymać ze względu na ogólną bardzo nizką kulturę rolniczą. Ruch folwarkowy i zagrodowy ma zatym, zdaje się, zupełnie określone granice swego rozwoju i dla 60% włościaństwa rosyjskiego jest niemal wykluczony z powodu braku ziemi, już pomijając względy klimatyczne i topograficzne, które bardzo często mogą stawiać temu ruchowi przeszkody bardzo poważne.

Z tego i wielu innych względów konieczność uposażenia w odpowiednią ilość ziemi ludności małorolnej powinna być dostatecznie zrozumiałą dla inicjatorów reformy agrarnej. To też rząd usiłuje zapobiec owemu brakowi ziemi zapomocą działalności Banku Włościańskiego. Działalność ta jest ściśle skoordynowana z duchem i planem samej reformy, mającej na celu przedewszystkim wytworzenie na gruzach niszczonej wspólnoty drobnej ziemskiej własności prywatnej i gospodarki jednoosobowej. Zgodnie z tym i Bank Włościański popiera niemal wyłącznie *kolonizowanie* obywatelskiej i skarbowej ziemi pod *folwarki* i *zagrody*; natomiast robi trudności i niechętnie udziela kredytu spółkom wiejskim i wspólnotom. Dobitnie świadczą o tym operacje Banku. W latach 1907 — 1908 blizko 60% nabytej przez włościan od Banku ziemi przypadało na parcele folwarkowe i zagrodowe, a tylko 40% na inne kategorje gospodarstw, zaś w planach likwidacyjnych Banku na rok 1909-ty pierwsza kategorja obejmuje 85%, ostatnia zaledwie 15%. W interesach gospodarki wyodrębnionej i scałkowanej Bank Włościański stosuje także między innymi wymaganie, by każdy nabywca ziemi uprzednio likwidował swój grunt nadziałowy.

Sztuczna i ryczałtowa polityka agrarna Banku odbija się bardzo ujemnie na interesach ludności małorolnej, nie ulega bowiem wątpliwości, że wielu chłopów daleko chętniej nabywałoby ziemię *gromadnie* lub też *dokupowało* gruntu do już istniejącego nadziału; tymczasem polityka Banku utrudnia jedno, wręcz uniemożliwia drugie. W rezultacie, od czasu zapoczątkowania reformy chłopi kupują daleko mniej ziemi bankowej, niż w latach poprzednich. Bardzo wymowne są pod tym względem cyfry: w ciągu 2 lat ostatnich Bank Włościański zgromadził olbrzymi zapas ziemi — blizko 4½ miljony dziesięcin, sprzedał zaś chłopom zaledwie miljon dziesięcin, czyli sprzedawał rocznie przeciętnie po 500 tysięcy dziesięcin, gdy w latach poprzedzających przeciętna sprzedażna norma roczna stanowiła blizko 800 tysięcy dziesięcin.

(D. n.) *Wł. Rawicz-Szczerba.*

NA DOBIE.

Antoni Zaremba.

(Wspomnienie pozgonne).

Dnia 30-go sierpnia b. r. zmarł w Moskwie po kilkodniowej zaledwie chorobie Antoni Zaremba Imię to nie było znane szerszemu ogółowi, chociaż człowiek, który je nosił, większe dla społeczeństwa naszego położył zasługi, niż wielu mężów rozgłośnej sławy.

Urodzony w Kijowie w d. 30 kwietnia 1867 go roku, tam również się kształcił i w r. 1890-ym ukończył wydział matematyczny na Uniwerstytecie, poczym pracował przy budowie kolei żelaznej, mieszkając z początku w Saratowie, a od r. 1897-go w Moskwie. W r. 1901-ym rzucił służbę kolejową i został stałym współpracownikiem najpoważniejszego organu postępowej prasy rosyjskiej *Ruskija Wiedomosti.* Od tej chwili aż do zgonu prowadził w tym piśmie t. zw. kronikę wewnętrzną, broniąc w licznych swych artykułach demokratycznych zasad postępu i sprawiedliwości. Pisywał również czas jakiś do warszawskiej *Prawdy* i rosyjskich pism *Ruskoje Bogactwo*, *Moskowskij Jeżeniedielnik*, do ros. encyklopedji Mejera i in.

Niezwykle skromny, nie podpisywał prawie nigdy swych artykułów, zszedł więc ze świata nieznany społeczeństwu, dla którego pracował, opłakiwany tylko przez najbliższych przyjaciół.

Oto krótki bieg życia Antoniego Zaremby.

Ale w tych skromnych ramach, w tym istnieniu przeciętnym na pozór, ileż było bogatej i nad wyraz pięknej treści wewnętrznej! Zasadniczymi cechami Zaremby były prawość i dobroć. Sam niezwykle szczery i prosty, był on nieubłaganym wrogiem wszelkiej blagi i fałszu. Żadne względy nie mogły powstrzymać go od wypowiadania *całej* prawdy wprost w oczy, niezależnie od tego, z kim i o kim mówił. Miał z tego powodu wielu niechętnych, którzy nie szczędzili mu epitetów „warchoła", „bociana, co świat czyści" i t. p.

Ale też nikt nie miał tylu serdecznych przyjaciół, co on. Bo naturalną potrzebą jego serca było żyć dla innych.

Można o nim powiedzieć słowami Mickiewicza: — Miał serce i patrzał w serce! —

Działalność Zaremby posiada jednak szersze znaczenie społeczne, ponieważ był on przez szereg lat jedynym niemal postępowym rzecznikiem sprawy polskiej w prasie rosyjskiej.

Każdy ważniejszy wypadek w kraju, każde rozporządzenie rządowe, dotyczące Polski, znalazło odgłos w jego artykułach. I nieraz czytelnicy pism polskich, spotykając w dziale *Prasy rosyjskiej* trafne i głębokie uwagi o naszych sprawach, ani się domyślali, że należą one do nieznanego nikomu cichego pracownika, który na dalekiej obczyźnie spełnia wytrwale twardą ideową służbę, broniąc praw przynależnych jego narodowi.

Zdanie Zaremby ceniono w kołach literackich rosyjskich. Ufano mu i wierzono. Samo jego nazwisko usuwało wszelkie podejrzenia; wiedziano bowiem, że w słowach Zaremby nie mogło być blagi, ani dyplomatycznego fałszu.

Trzeba zaznaczyć, że w działalności swej szedł inną zupełnie drogą, niż Spasowicz i inni „zwolennicy polsko-rosyjskiego zbliżenia". Stał on na przeciwległym do dawnej „Ugody" biegunie. Za najpiękniejszą kartę w porozbiorowych dziejach naszego narodu uważał działalność Towarzystwa Demokratycznego. Jego prawa, szczera natura nie znosiła najmniejszych niedomówień i niejasnych formułowań myśli. W roku 1905 wziął czynny udział w organizacji Zjazdu polsko rosyjskiego w Moskwie, raziła go jednak mglistość t. zw. punktów polskich w programie kadeckim. Gdy prof. Milukow w *Rieczi* polemizował z posłami polskimi I Dumy z powodu złożenia przez nich słynnej *deklaracji* i zaczynał się cofać z zajętego poprzednio przychylnego dla nas stanowiska, Zaremba, aczkolwiek był zdecydowanym przeciwnikiem Narodowej Demokracji, odpowiedział mu świetnym artykułem w *Moskowskim Jeżeniedielniku*, w którym zbijał nieszczere wywody kadeckiego leadera.

Kto zblizka przypatrywał się działalności tego człowieka, kto wie, jak głęboko bolał on nad losem swojego narodu i jakie walki musiał staczać w imię drogiej dla nas wszystkich idei, zrozumie jak poważną społeczeństwo nasze poniosło stratę przez śmierć Antoniego Zaremby.

J. Klukowski.

Ze Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich.

W ubiegłą sobotę d. 25 z. m. Związek Równ. Kobiet Polskich urządził wieczornicę z okazji przenosin swych do nowej siedziby (Nowy Świat 4.)

Po przemówieniu powitalnym i odczytaniu kilku serdecznych depesz, wsród których był odzyw Kruszynianek i list Kazimiery Bujwidowej z Krakowa, przewodnicząca Związku p. Reinszmidt - Kuczalska w dłuższej mowie dała rzut oka na przeszłość ruchu kobiecego u nas i nakreśliła plan działania na najbliższą przyszłość. Jako główne zadania na rok przyszły p. Kuczalska wskazuje: pracę nad uzyskaniem reform w kodeksie cywilnym, zrealizowanie myśli o gimnazjum żeńskim z kursem szkół męskich, wreszcie podjęcie wydawnictwa informacyjnego p. t. Kalendarz Kobiety polskiej.

Następnie przemawiały studentki ze Lwowa i Petersburga, Biniekówna, uczennice szkoły w Gołotczyźnie, robotnica miejska i wiele innych osób.

Drugą, artystyczną część wieczoru wypełniła muzyka p. Małeckiej, profesorki konserwatorjum w Londynie, prześliczny śpiew pp. Tomaszewskiej — Milanowskiej i Florjani, wreszcie luźne przemówienia.

Wsród miłego nastroju obecni rozchodzili się około północy, obiecując sobie spotykać się częściej na zapowiedzianych przez p. Bojanowską wieczorach dyskusyjnych w lokalu Zw. Równouprawnienia.

A. S.

Zapowiedź nowego wydawnictw.

Otrzymaliśmy zapowiedź wydawnictwa Kalendarza Kobiety Polskiej na rok 1910, który ukaże się staraniem Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich.

Kalendarz ten, po za zwykłymi działami, ma zawierać całokształt informacji niezbędnych dla każdej kobiety w życiu społecznym i w wyborze powołania, wreszcie ma dać możliwie pełny obraz obecnego stanu sprawy kobiecej u nas i sprawozdanie z tego, co już osiągnięte zostało.

Sympatyczne hasło „popierajmy się wzajemnie" i dewiza, że wskazówek „z życia dla życia czerpać należy" — powinny zjednać wydawnictwu popularność i poparcie wsród szerszego ogółu.

A. S.

Towarzystwo Kursów naukowych.

W przyszłym tygodniu rozpoczynają się wykłady na wszystkich sekcjach Kursów Naukowych. Wnosząc z ogłoszonych drukiem programów, kierownicy tej instytucji dążą do ujęcia planu w harmonijny system, do wytworzenia w każdym dziale skończonego całokształtu specjalnego wykształcenia na poziomie akademickim. Warunkiem przyjęcia jest ukończenie wszystkich klas szkoły średniej. W sekcji humanistycznej, dla odpowiedniego przygotowania słuchaczy powołano do życia kolegjum humanistyczne.

W sekcji humanistycznej wykładają L. Krzywicki, Dr. Z. Daszyńska-Golińska, Dr. M. Stefanowska, J W Dawid, Wł. M. Kozłowski, K. Appel, Ign. Matuszewski, W. Trojanowski i in.

Sekcja Matematyczno-przyrodnicza ogłosiła program dwuletniego kursu. Wykłady jej zarówno jak wykłady sekcji technicznej odbywać się będą w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, dla korzystania z miejscowych pracowni naukowych. Między profesorami spotykamy najwyżej cenione z pośród naszych sił naukowych.

Czwartą sekcję stanowią kursy rolnicze, których program wzoruje się na kursach rolniczych, istniejących przy uniwersytecie krakowskim.

LITERATURA i SZTUKA.

Sezon teatralny w Paryżu.

II.

Jeśli jednak pierwsza scena francuska wystawia podobne kwiatki stylu i smaku, jak „Foyer", łatwo jest wyobrazić sobie, czym żyją teatry mniejsze, sceny i t. zw. teatry bulwarowe. Ostatni sezon nie był zresztą zbyt szczęśliwym dla nich, gdyż przyniósł zaledwie dwie „nowości", ale za to w ciągu miesiąca podbiły one sobie całą Europę. O, bo sukcesy tego rodzaju mają w sobie coś z rozlewności epidemji i propagują się z zatrważającą wprost szybkością. „Osiołka" wystawiono już nawet w Warszawie, a widziałem go również na afiszu i w Genui i w Medjolanie i w Wiedniu, ba, nawet w maleńkiej Savonie i w Krakowie, gdzie francuski jego tytuł przetłumaczono o wiele zręczniej niż u nas i sztuka nazywa się tam: „Osiołkowi w żłoby dano..."

Przed drugą nowością uchroni nas może cenzura, gdyż dopatrzy się w niej występku *laesae majestatis*, nic jednak nie straci na tym zakazie ani kultura moralna, ani artystyczna naszego kraju. „Król" panów (jest ich aż trzech) de Caillavet'a, de Flers'a i Arène'a mógłby być satyrą polityczną, gdyby nie był utworem francuskim, w którym wszystko kręci się wiecznie koło pytań: gdzie, jak, kto, z kim, kogo zdradził. A zdrad tych jest tu więcej, niż ich pomieścić mogą trzy akty, dlatego też sztuka posiada cztery obrazy.

Bourdier, miljoner i deputowany socjalistyczny, odbija kochankę swemu sąsiadowi, margrabiemu de Chamarande by się zemścić za to, iż arystokrata nie chce zezwolić na małżeństwo swego syna z córką p. Bourdier. Margrabiemu przybywa jednak z odwetem król Serdanji, który bawiąc w Paryżu, przypomina sobie swą dawną miłość do obecnej kochanki p. Bourdier i pragnie ją odwiedzić. P. Bourdier ma zaszczyt naocznie upewnić się, że jego królewska mość raczy mu przyprawiać rogi, nie umie jednak ocenić tego wyróżnienia, a nawet czuje się nieco urażonym. By wybrnąć z tej sytuacji, król na znak swej łaski zaprasza się do p. Bourdier na polowanie i podczas jedynej nocy, którą spędza w gościnnym zamku deputowanego, przyprawia mu znów rogi z jego własną żoną, a p. Bourdier ma powtórnie sposobność przekonać się o niepokojącym pokrewieństwie swych gustów z gustami jego królewskiej mości. Na ten raz jednak nowy zaszczyt, który spotyka p. Bourdier, jest mu całkiem niemiłym i sytuacja staje się drażliwą, ale prezes ministrów znajduje sposób ułagodzenia pokrzywdzonego małżonka i ofiarowuje mu wakującą tekę, zaś ze strony króla uzyskuje jako słuszne odszkodowanie podpis na bardzo wygodnym dla Francji traktacie handlowym i tym kupletem patryjotycznym kończy się sztuka.

Brała mnie często ciekawość, by zobaczyć, jakie wrażenie robi ta farsa w wykonaniu artystów włoskich czy niemieckich, obdarta z giętkich dźwięków francuskiej mowy, grana bez tej swobody i wykwintnego bądź co bądź humoru, które cechują teatr paryski.

Wystawiam sobie, że musi ona tracić wiele, bardzo wiele, to jednak nie przeszkadzało jej obiec całą Europę.

Ale istnienie i powodzenie podobnych sztuk nie byłoby ani tak dziwnym, ani tak niepokojącym, gdyby w teatrze francuskim widać było równorzędnie tę inną, poważną falę, z której wytworniejsze duchy i jutro nowych odrodzeń czerpaćby mogły — ale fali tej niema

Jedno, jedyne głębsze wrażenie, jakie wyniosłem

obecnie z teatrów paryskich, dała mi Sara Bernard, tak, stara Bernard. Zdawało mi się, że żegnała się ona ze sceną, która była jej życiem, ze swą przeszłością, z publicznością. Grała kolejno wszystkie role swego repertuaru, po trzykroć każdą. Często zawodził ją głos, w ruchach nie pozostało nic z tej nerwowej giętkości, z tego niewysłowionego wdzięku, który cechował niegdyś każdy jej giest. Zmęczona twarz i rwący się głos przykre nieraz robiły wrażenie, ale drwić nie śmiałem. Bo ta mara, co się słaniała po scenie, była jednak cieniem wielkiej artystki i żegnałem się z nią powtarzając w myśli owo zdanie, którym muszkieterowie Dumasa odprowadzali na szafot Karola I-go: cześć, cześć upadłemu majestatowi.

Za godną rywalkę wielkiej Sary uważaną była zawsze pani Réjane. Dziś tryumfuje ona. Krytyka francuska podnosi wszechstronność jej talentu; mówią o niej, że z jednakim mistrzostwem odtwarza ona bohaterki „La Glu" i „Germine Lacerteux" jak „Madame Sans-Gêne", że jest równie wielką w połatanym fartuchu jak w greckim peplum. Ja jednak widziałem w niej dotąd zawsze więcej fartucha niż greckiej, czy wogóle jakiejkolwiek linji, a naturalizm à l'outrance, który swego czasu wprowadzała ze sobą do Vaudeville'u, nie zawsze przypadał mi do gustu. Ale nad teatrem jej weszła nowa gwiazda. Upodobał go sobie jeden z tych przybyszów, którzy to jedynie wnoszą dziś coś nowego na scenę francuską. Jest nim Włoch, który, jak mi to sam powiedział, przed sześcioma laty jeszcze nie znał zupełnie francuskiego języka. Nazywa się Dario Nicodemi, a sztuka jego nosi tytuł „Le Refuge".

Oddawna już, bo może od czasu gdy inny przybłęda, Henri Bernstein wystawił w teatrze p-ni Le Bargy swą „Rafale", nie widziałem w Paryżu sztuki, którąby tak jaskrawo odbijała od tego wszystkiego, czym żyje scena paryska, jak to „Schronienie".

I tu głównym motorem jest miłość; i tu zawiązał autor cały łańcuch zdrad, ale jakżeż inaczej traktuje on to wszystko. W postaciach jego jest powaga i głębia uczucia, jest szamotanie się i dążenie do czegoś, jest smutek i tęsknota, nie zaś to lubieżne bawienie się naprężoną sytuacją i nie ten ociekający śliną uśmiech, z którym autor francuski przygląda się zwykle zakochanym w sobie parkom.

Artysta malarz, Gerard de Volmières usunął się na Riwierę i w zaciszu swej willi, którą nazwał „Schronienie", chce się zamknąć przed gwarem życia, który dokuczał mu w Paryżu. Na nieszczęście jednak, żona jego, Julja, inaczej zapatruje się na życie, lubi zabawy i towarzystwo i „Schronienie" pełne jest znów gości i stuku automobilów, rozbrzmiewa odgłosami rozmów, śmiechu i muzyki. Julję oburza zachowanie się jej męża, który zamyka się w swej pracowni, a dla gości ma co najwyżej tylko mrożącą grzeczność, złośliwym zaprawioną uśmiechem. Między małżonkami coraz częściej powtarzają się burzliwe sceny i podczas jednej z nich Julja posuwa się tak daleko, że grozi mężowi możliwością zdrady, jeśli on będzie ją nadal zaniedbywał i lekceważył sobie jej przyjaciół. Ale Gerard wie, że Julja zdradzała już dawniej, zdradzała go w chwili, gdy on kochał ją jeszcze z naiwną ufnością szczerego serca. Wtedy nie dał on jej nawet poznać, że domyśla się prawdy, ale dziś rzuca jej to w twarz wraz z wyznaniem, że i on kocha też obecnie inną, że kocha ją tak gorąco, jak nie kochał nigdy Julji, że oprócz tej miłości nic dla niego nie istnieje, nic go nie obchodzi, że jest jemu obojętnym nawet to, iż pod jego dachem przebywa teraz dawny kochanek Julji a obecnie narzeczony Dory, Ludwik de St. Airan. Julja musi się zgodzić na rozwód, a wtedy Gerard poślubi Dorę. I byłoby to najsłuszniejsze rozwiązanie, ale Julja nie chce się wyrzec swych praw i z pogróżkami opuszcza pracownię.

Zapada noc, gęstnieje mrok, przez wielkie okno poprzecznej ściany widać morze otulone w fijolety mgieł. Wtym drzwi się otwierają, na progu staje jakaś młoda kobieta, która rzuca się w objęcia Gerarda — to Dora, narzeczona p. de St. Airan.

W drugim akcie Dora i Gerard wychodzą z pokoju, w którym spędzili noc. Dora chce powrócić do swego pokoju, ale przy drzwiach zatrzymują ja odgłosy kroków i rozmów w korytarzach. Gerard rozsuwa firanki, otwiera okiennice i do pokoju wpada fala światła, a słońce już stoi wysoko na niebie. Zaspali. Cały dom jest już na nogach, wszyscy szukają Dory, która teraz już w żaden sposób nie może się wymknąć niepostrzeżenie z apartamentów Gerarda.

Ale Julja domyśla się, gdzie się znajduje p. Dora. Domyśla się również p. de St. Airan, który przychodzi do Gerarda i otwarcie mu to mówi, dodając przytym, że pomimo wszystko poślubi Dorę, gdyż małżeństwo to jest dla niego jedynym środkiem ratunku przed ruiną majątkową, która mu grozi. Gerard próbuje wszelkich środków, chce się zrzec posagu Dory, ofiarowuje mu cały swój majątek, wreszcie przywołuje Dorę: niech ona wybiera między nimi dwoma. W tej chwili jednak bezczelny karjerowicz znajduje słowo, które druzgocze całe szczęście Dory. Oto oświadcza on jej, że miłość Gerarda do niej nie jest niczym innym jak tylko rewanżem, sposobem zemsty, gdyż on, de St. Airan był kochankiem żony Gerarda. Cios jest dobrze wymierzony. Dora ani słyszeć teraz nie chce o małżeństwie z Gerardem. Słowa narzeczonego odebrały jej wszelką wiarę w niego.

I wreszcie przepyszna scena między żoną i kochanką kończy sztukę. Julja (p. Réjane) łkając, stara się przekonać Dorę, że Gerard nie mógł się mścić, bo nie kocha jej już oddawna. W wyznaniu tym jęczy straszny ból, ale bolesne to wyznanie daje Dorze możliwość szczęścia, wraca jej wiarę w miłość ukochanego i tylko cierpienie Julji onieśmiela ją, bo płakałaby z radości, ze szczęścia, — ta hamowana rozpacz jednej z nich, i powściągliwa, ale wybuchająca raz wraz urywanym śmiechem szczęścia radość drugiej składają się na scenę, której zapomnieć nie można.

Jakimi drogami pójdzie talent Nicodemiego, określić trudno. Widzieliśmy już Bernsteina, który, wkupiwszy się swą „Rafale" do literatury francuskiej, przejął odrazu jej tradycje i zaczął tworzyć sztuki prawdziwie paryskie. Ale bardziej nad te horoskopy co do przyszłości Nikodemiego, obchodzi mnie na razie pytanie, dlaczego „Osiołkowie" i płody pp. de Caillavet'ów i de Flers'ów w ciągu miesiąca znajdują tłumaczów i oblatują wszystkie sceny europejskie, gdy tymczasem twory prawdziwego talentu po latach zaledwie dostępują tego zaszczytu?

Ha, zresztą i to pytanie łatwo daje się rozwiązać: wiatr łatwiej i prędzej niesie to, co jest lekkim śmieciem.

Stefan Gacki.

L. Wellisch. Zygmunt Krasiński i Ary Scheffer.

(Listy z nieznanych rękopisów). Warszawa 1909 r.

Jest to przyczynek do biografji Z. Krasińskiego, ciekawy głównie ze względu na entuzjazm, jaki autor Irydjona — zdaje się pierwszy i ostatni raz w życiu — odczuł do sztuki plastycznej, mianowicie do słynnego w swoim czasie malarza Ary Scheffera.

Twórczość tego artysty, pierwiastkowo bardzo romantycza, zbliżała sie zwolna do renesansowych form klasycyzmu rafaelowskiego.

Niewątpliwie znakomity rysownik, był on jednak w istocie epigonem XVI — XVII w. Nadto był on zasadniczo myślowy, nauczający, literacki: zdaje się, że w dziełach Ary Scheffera — uderzyła Krasińskiego właśnie ta literatura. Sam on był w poezyi pol-

skiej pierwszym intelektualistą, to też intelektualnie rozumiał on zarówno sztukę w ogóle, jak i poezję w szczególności. Malarstwo Ary Scheffera najbardziej mu przypominało poezję. Pierwsza rzecz, która zwróciła uwagę Krasińskiego — była to *Francesca diRimini* Ary Scheffera, obraz dotąd znajdujący się w posiadaniu Krasińskich.

Zażyły stosunek, jaki się wywiązał między Krasińskim a Schefferem — wywołał później cały szereg portretów różnych osób z rodziny poety, p. Elizy z dziećmi, Delfiny Potockiej, księżny Odescalchi, Katarzyny Potockiej i in., wreszcie doskonały portret Zygmunta Krasińskiego. Z malarzy zagranicznych Ary Scheffer może najwięcej upowszechnił się w domach polskich. Dzięki tej zażyłości artysty z poetą— powstała dość obfita korespondencja.

Na nieszczęście z listów Ary Scheffera pozostało bardzo niewiele, gdy korespondencja Zygmunta w rodzinie Schefferów została bardzo gorliwie przechowana. Były to gorące lata 1847 — 48 — 50, i listy obu znakomitych ludzi zawierają liczne aluzje do wypadków ówczesnych: nie zdziwimy się, że Krasiński, zasadniczo antirewolucyjny, ze zgrozą pisze o tym całym ruchu; przeciwnie Ary był sam republikaninem, bardzo radykalnych przekonań.

Ważniejsze są poglądy Krasińskiego na poezję i sztukę, na filozofję i religję, których nie mało po swoich listach rozsypał autor *Słowa w Trójcy wcielonego*, uczeń niemieckiej filozofji Heglowskiej, przetłumaczonej przezeń na język neo-katolicki i oddanej w służbę kościoła, owego wymarzonego kościoła przyszłości, o którym nieraz mówi Z. Krasiński, kościoła Św. Jana, w którym urzeczywistni się Słowo Boże.

Wydanie piękne. Zawiera 15 reprodukcji obrazów Ary Scheffera.

A. L.

Jan Stanisław Mar: **Historja dwojga ludzi i jednego filistra**. Str. 132. Warszawa 1909. Nakładem: *Nowości Literackich.*

Łatwość opowiadania, łatwość konkretyzowania myśli, łatwość rozwiązywania najzawilszych problematów etycznych i psychologicznych — to zalety i wady pana Mara. Obraz za obrazem przesuwa się jak w kalejdoskopie pozostawiając tylko wrażenia wzrokowe, co każe nam sądzić, że pan Mar jest talentem niezmiernie plastycznym. Tak, p. Mar bez wątpienia ma talent. Zastrzec się jednak trzeba, bo w piśmiennictwie polskim jest bardzo wielu ludzi mających talent, ale nie *mających* co powiedzieć kulturze, której są współpracownikami. Barwne, zuchwałe, ładnie powiedziane słowo — nie okupi pustki, którą sieją stronice najmłodszej polskiej literatury.

Ze p. Irenka była nauczycielką i została żoną fabrykanta — to z kroniki małżeństw dowiedzieć się można Że zdradzała go potym z jakimś tam „literatem" — również nie należy do rzędu takich faktów, które wymagałyby zaprzątania uwagi społecznej. Artystycznie temat ujęty powierzchownie, gdyż szminka sarkazmu, ironji nie dowodzi, że zagadnienie pogłębiono. Jak bowiem p. Irena reaguje moralnie na fakt zdrady ze swojej strony? Tak się jakoś w jej duszy prościutko układa sytuacja za sytuacją, że *zdaje się* los zmusza ją do popełnienia tego a nie innego czynu. Szkoda tylko, że konieczności tej czytelnik zupełnie nie odczuwa. Przeciwnie razi go to powierzchowne prześlizgnięcie się po przez duszę kobiecą.

A pan Morwa? Karykatura człowieka. Jakiś „Ubermensch" z kabaretu, albo prorok z kawiarni, ale nie artysta, nie człowiek żyjący wszystkimi fibrami duszy pięknem i poezją własnych przeżyć. Co prawda, Warszawa posiada kilku takich wałęsających się gienjuszów bez teki, więc bardzo być może, że jako portret literacki jednego z nich, pan Morwa jest zadawalający. Jeżeli o to p. Marowi chodziło, dopiął celu: jego Morwa jest w miarę krzykliwy i ogłupiony kabotynizmem, to znów pijący koniak, co wystarcza za charakterystykę tych warszawskich gienjuszów. Tylko bowiem koniak i kabotynizm różni ich od reszty przeróżnych ciemnych indywiduuów — różnic podstaw światopoglądowych nie doszukacie się, a więc p. Mar ma rację.

Tak, p. Mar ma rację, tylko, że sam tej postawy światopoglądowej nie posiada, a poza go nie ratuje, co książkę jego o „Historji dwojga ludzi i jednego filistra" czyni niewielce interesującą.

Eustachy Czekalski.

Z Zachęty.

Słowacki — Szymanowskiego. Wystawa szkoły Ślewińskiego. Wystawa szkoły Dunin — Chalus. Rzeźby Koszarka.

Żeby też jednak pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca lecz Fidjasza...

Czytamy wiersz ten umieszczony pod repliką Chopina, którą z małymi zmianami wykonał p. W. Szymanowski i wystawił w Zachęcie, nazwawszy pracę tę—podobizną Juljusza Słowackiego. Gdy *tego* Słowackiego porównamy z figurą Chopina, znajdująca się w sąsiedniej sali, a którą p. Szymanowski wykonał na niedawno rozstrzygnięty konkurs na pomnik nieśmiertelnego piewcy tonów, to zauważymy uderzające podobieństwo pojęcia obu tych figur, podobieństwo rysów i wyrazu twarzy, ruchu głowy, ruchu postaci, fałd płaszcza, a to wszystko tak do siebie zbliżone, że gdyby *tego* Słowackiego umieścić pod wierzbą pomnika Chopina, byłby on również dobrym Chopinem, jak jest z tego powodu kiepskim Słowackim. Co więcej, *ten* Słowacki zaszkodził przez swe podobieństwo *tamtemu* Chopinowi, gdyż obie te figury jednym i tymże trącą szablonem.

Słowacki p. Szymanowskiego, nie mówiąc iż mało jest podobny, nie posiada wcale w twarzy swej owego prometeuszowego wyrazu, jaki bić powinien z oblicza twórcy Króla Ducha, ani energji w ruchu, a zaciśnięta pięść ręki jego znów przypomina ruch podobny rąk u figury Chopina i Mickiewicza, świadcząc, iż p. Szymanowski nie odczuwa bogactwa ruchów rąk w zależności od duchowego nastroju wyobrażanych postaci. Wszystko to świadczy tylko, iż pomyślany przez p. Szymanowskiego Słowacki nie jest wykonany podług miary Fidjasza...

P. Slewiński, utalentowany pejzażysta i malarz kwiatów i owoców, zgromadził około siebie kilku uczniów i uczennic, którzy pod jego światłym kierunkiem zabrali się do poważnego studjowania natury. Wystawione obecnie prace tych młodych artystów świadczą o dobrym i subtelnym odczuwaniu barw, światła i powietrza w wykonanych krajobrazach i postaciach ludzkich. Należy jednak zwrócić baczniejszą uwagę na rysunek i unikać zbytniej suchości.

Bardzo interesująco przedstawiają się przeróżne kompozycje zdobnicze, zastosowane do wszelkich gałęzi przemysłu przeważnie fabrycznego, które zostały wykonane w szkole sztuki stosowanej, znajdującej się pod kierunkiem pp. Duninówny i Chalus. Prace te świadczą nietylko o talencie uczniów i uczennic tej szkoły, ale zarazem o doskonałym kierunku, jaki w szkole tej jest stosowany. Panna Chalus, francuzka, uczennica Grasset'a, z całą stanowczością i wytrwałością stosuje w szkole swej metodę tego znakomitego mistrza, polegającą na gruntownym poznawaniu form natury, a następnie na racjonalnym ich stylizowaniu, kładąc nacisk na ścisły i dokładny rysunek. Wystawione prace dają pochlebne świadectwo o szko-

le, która z prywatnych jest jedyną u nas prowadzoną racjonalnie—przez osobę gruntownie w swym fachu wykształconą.

Przemysłowcy nasi powinni zaznajomić się z pracami wykonywanymi w tej szkole, a znajdą tam dużo pięknych motywów, które z łatwością w odpowiednich materjałach dadzą się wykonać.

Szkoła ta prócz uczniów fachowych kształci szereg dzieci ubogich, wprost branych z ulicy i szczepi w nich zamiłowanie piękna. Dziecinne te prace świadczą, iż moglibyśmy posiadać z łatwością całe szeregi uzdolnionych pracowników w dziedzinie sztuki czystej czy stosowanej, gdyby tylko szerokie masy miały ułatwiony dostęp do kształcenia się. Należy się uznanie szkole tej za to, co czyni w tym kierunku.

Że przy pewnym usiłowaniu i zamiłowaniu można we wszystkim dojść do niezłych nawet rezultatów, świadczą wystawione rzeźby p. Koszarka. Cyzeler z zawodu, kształcił się w modelarstwie w Paryżu z zamiarem poświęcenia się tak zwanej „czystej” sztuce. Modelowane przez p. Koszarka słoń i tygrys są wcale niezłe w ruchu i formach, a nawet dużo lepsze od modelowanych przez niego głów ludzkich. Zdaje się, że p. Koszarek może swe wiadomości zastosować z pożytkiem w przemyśle bronzowniczym.

Wincenty Trojanowski.

Koncerty w Filharmonji.

„Dyrekcja Akc. Tow. Filharmonja Warszawska zawiadamia niniejszym, że w nadchodzącym sezonie. 1909/10 r. (od 15 października r. b. do 30 kwietnia 1910 roku) urządzi około 60 koncertów po cenach popularnych. Filharmonja zapewniła sobie udział Warszawskiej Symfonicznej Orkiestry, kierunek artystyczny tych koncertów powierzony został panu Grzegorzowi Fitelbergowi. W ten sposób da się przeprowadzić pewna łączność muzyczna z koncertami, stanowiącymi oddzielną serję koncertów pod egidą ks. Władysława Lubomirskiego. W sali Wielkiej Filharmonji Warszawskiej odbędzie się zatym do końca kwietnia 1910 r. około 120 koncertów, w porze wieczornej, nadto pani Marja Sobolewska urządzi 8 popołudniowych koncertów dla młodzieży, a to na podobieństwo koncertów minionego sezonu.

Aby możliwie wyeksploatować Wielką salę Filharmonji, pozostałe rozporządzalne poobiedzia i wieczory oddane zostały poważniejszym przedstawicielom firm kinematograficznych. Dyrekcja pragnęła rozwinąć w sezonie ubiegłym dział odczytowy, ale, niestety, nie znaleziono odpowiedniej liczby prelegientów, mogących ponosić ryzyko wynajmu sali — nawet przy możliwie obniżonej opłacie za salę i światło. O ile dałoby się wznowić tak popularne dawniej odczyty w niedzielę i święta w porze południowej, dyrekcja poczyni chętnie wszelkie ustępstwa, aby przyjście do skutku tych odczytów móc ułatwić.

Pp. posiadacze biletów abonamentowych na koncerty nie odbyte w ubiegłym sezonie, mogą bilety te zamienić na koncerty abonamentowe p. Grzegorza Fitelberga.

Z wysokim poważaniem

Dyrekcja Akc. Tow. Filharmonja Warszawska.

Redakcja „Sfinksa”

Konkurs poetycki „Sfinksa”.

Na konkurs poetycki imienia Juljusza Słowackiego, ogłoszony przez redakcję „Sfinksa”, nadesłano sześćdziesiąt osiem utworów, a mianowicie:

„Antonjusz” — godło: Niby-grek. „Białe kwiaty“ — godło: „Niech żywi nie tracą nadziei“. „Cień wolności tułaczy“ — godło: „Kolumnowym czołom“. „Córa Kraka“ — godło: „Zła miesz — nie zegniesz!“. „Czarny książę“ — godło: „We mnie jest moc płomieni, co rozerwane zwiąże“. „Czerwony kwiat“ — godło: Maki. „Dzbany“ — godło: Krakuska. „Dzieje królewskie“ — godło: Ekimum. „Fragment z epopei“ — godło: Ananke. „Hanka“ — godło: „Którąkolwiek trącę lutni mojej strunę, dzwoni jak łzy sierot o matczyną trunę“. „Janek i Helenka“ — godło: „Che sarà, sarà!“. „Jaśko bandyta“ — godło: „Piotr Karaluch“. „Jesienią“ — godło: „Świt“. „Karmeluk“ — godło: „Miej serce i patrzaj w serce“. „Kwiat paproci“ — godło: Tomir. „Liberum veto“ — godło: Szanfary. „Luciferus“ — godło: „Awator“. „Marja Tiffenhaus“ — godło: „Bielecki — Żmija„. „Mirabilia“ — godło: Dolorosa „My“ — godło: „Z tych serc omyjcie rdzę — podnieście czoła!“. „Nad Wartą“ — godło: „Sursum corda!“. „Nieśmiertelny“ — godło: „Nieśmiertelny“. „O cudownej perle“ — godło: Fabula amoris. „O Jadwidze królowej“ — godło: Wawel. „Ostatni promień — godło: „Sapho“. „Pani potrójna“ — godło: Neo-mythos. „Pan Rębalski“ — godło: „Leliwa“. „Podróż w Pireneje z Paryża“ — godło: Stylizacja. „Pieśń o rycerzu“ — godło: „Ignis ardens“. „Potępiony“ — godło: „Niech żywi nie tracą nadziei“. „Przebudzenie“ — bez godła. „Przez mgły“ — godło: Orion. „Przyjaciele“ — godło: „Temat i dawny i współczesny. „Pszenica“ — godło: „W. E. Z. D. 101. „Romantyk“ — godło: „Cuique suum“. „Rybak„ — godło: „Myli się ten, kto sądzi, iż narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków; wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którym trzeba szukać duszy narodu lub duszy świata. — I to jest moja poetyczna droga“. „Samson“ — godło: „Serce“. „Sen o ziemi“ — godło: „Ziemia“. „Sen o mocy„ — godło: „Jutrzenka różanopalca“. „Sen tatrzański“—godło: „Adest“. „Sobotnia góra“ — godło: „Z ludum wyszła — w lud idę“. „Śpiew o witeziu Bąku„ — godło: „Wanda Victrix“. „Świt“—godło: „Nemo propheta in sua patria„. „Talizman“ — godło: „Zasypię źródlane kryształy — I skona plama w piekielnym upale“. „Tęsknota hetmana“ — godło: „De profundis animae“. „Twardowski“ — godło: „Nos w trójkącie“. „Tych dwoje“ — godło: „Postawmy myśli serdeczne nad nami“. „Trąd“ — godło: „Olita“. „U stóp Chrystusa“ — godło: „Czahary“. „Walgierz i Helgonda“ — godło: „Obcięte skrzydła nie starczą do lotu“. „Wanda“—godło: „Orliczek“. „Warneńczyk“ — godło: „Rok 1444“. „W błękitnym lesie“ — godło: „W pożarze niebios“. „Wczasy kosowskie“ — godło: „Maczuga“. „Westalka“ — godło: „Trybun“. „Wiatr halny“ — godło: Promień X. „Wieczyste śluby“ — godło: Nad poziomyl. „Wizje“ — godło: Spero. „W ostatni wtorek“—godło: „Le beau pour le crapaud c'est sa crapaude“. „Wspomnienie“ —godło„Kres“. „Wybrzeża! — Morza!“. — godło: „Ludwik Rostalski“. „Viola d'Amore“ — godło: „Romeo“. „Zdzisław“ — godło: „Pałac“. „Z nowego Testamentu“ — godło: „La méfiance est la mère de la sûreté“. „Zwiedziona“ — godło: „Też“. „XV“ — godło: „Sursum corda!“ — Bez tytułu — godło: „Lux“. — Bez tytułu — godło: „Trzynasty“.

Sąd konkursowy, który stanowią: Bronisław Chlebowski, Ignacy Chrzanowski, Aureli Drogoszewski, Ignacy Matuszewski, Władysław St. Reymont, Józef Weyssenhoff, oraz redaktor „Sfinksa“ Władysław Bukowiński, rozpoczął już swe czynności pod przewodnictwem prof. Bron. Chlebowskiego. Obowiązki sekretarza objął red. Bukowiński.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

Na czele 30-go numeru *Sztandaru* znajdujemy ciekawy artykuł p. t. „Hijeny”. To niepochlebne a nieco melodramatycznie brzmiące przezwisko daje *Sztandar* „nadkatolikom”, stanowiącym wedle zdania redakcji

> jeden z najbardziej ujemnych składników obozu chrześcijańsko-katolickiego.
>
> ... są (oni) tym elementem zacofania, reakcji, braku oświaty i braku miłości bliźniego, dzięki któremu ogół z trudnością daje się przekonywać, że idea chrystjanizmu—to nie fanatyzm i ciemność, lecz wyrozumiałość i światło; że to nie zacofanie i nienawiść—lecz postęp i miłość bliźniego. Ci nadkatolicy są to ludzie którzy wszędzie węszą herezję,

którzy za pomocą metody policyjnej dociekają tajemnic życia rodzinnego" i t. p.

Zarzuca im dalej *Sztandar* — „lekceważenie władzy duchownej", „absolutną bezpłodność społeczną" i nieprzebieranie w środkach:

> piszą denuncjacje, rozsiewają oszczerstwa, płaszczą się przed władzą duchowną w oczy, aby ją za oczami śledzić.

Najwstrętniejszą ich cechą są wedle autora...

> *szeroko rozwinięte demagogiczne skłonności*, dążenie do panowania nad masami przez schlebianie instynktowi tłumu, przez drażnienie jego słabostek i upodobań. I to ich czyni niebezpiecznymi.

Autor, p. Rakowski, wzywa wszystkich świadomych niebezpieczeństwa, by zwalczali wpływ „policyjnego zelatorstwa" na katolickie szeregi.

Pobudką jego wystąpienia jest działalność *Polaka—Katolika* a w szczególności artykuł p. t. „Zgon i pogrzeb", krytykujący władzę kościelną, że rozwinęła całą paradę obrzędów kościelnych na pogrzebie znakomitego literata, który przed śmiercią wcale sakramentów nie przyjął.

Sama przyczyna sporu nas naturalnie wcale nie obchodzi i nie nasza rola rozstrzygać, czy „władza duchowna źle uczyniła"—jak mówi *Polak—Katolik*, — czy też „Kościół wiedział, dla czego to czyni" — jak mówi p. Rakowski.

W artykule *Sztandaru* znajdujemy jednak potwierdzenie faktu, że miara „policyjnego zelatorstwa" już się przebrała, że nawet w katolickich szeregach zaczyna się przeciw niemu budzić silny protest i już brzmi pobudka do zwalczania tej plagi:

> Czas zedrzeć maskę z tej sekty, która za kulisami opasuje nasze społeczeństwo siecią nietolerancji, wstecznictwa, nieuctwa i denuncjatorstwa!...

Może więc spoglądamy na początek walki, której wyniku przewidzieć niepodobna. Albo *nadkatolicy*, wziąwszy górę nad bardziej nowoczesnym prądem demokracji-chrześcijańskiej, obejmą swoją siecią *policyjnego zelatorstwa* cały nasz obóz katolicki i pogrążą go do dna w kompromitującym barbarzyństwie, albo też *władza duchowna* przejdzie całkowicie na stanowisko *Sztandaru*— a wtedy istotnie dowiemy się o istnieniu jeszcze nowej sekty potępionej i odtrąconej przez też władzę. Jeśli zelatorzy znajdą się nazewnątrz Kościoła (kto wie, czy nie schodzi się ich działalność z instytucją Honoratek) — powtórzy się może historja Marjawitów, którzy na całkiem pokrewnym podłożu wyrośli.

Z prasy rosyjskiej.

* Z powodu stulecia przyłączenia Finlandji *Riecz* daje ogólną charakterystykę stanu spraw finlandzkich w chwili obecnej. Zaznaczywszy, że Rosja urzędowa obchodzi jubileusz „podboju" nie zaś jubileusz potwierdzenia konstytucji finladzkiej przez Aleksandra I, dziennik ten pisze:

> Dzisiejsze święto ma wstrętne dla Finlandczyków znaczenie polityczne. Miast zgodnego święta ogólnopaństwowego, posyłamy im wyzwanie. Okoliczności, w jakich się odbywa uroczystość, jeszcze bardziej po dkreślają jej ponure znaczenie.
>
> Po dwuch i pół miesiącach przerwy wakacyjnej dopiero co zebrał się w Helsingforsie sejm finladzki. Posłowie, których większość jest stanowczo przeciwna wszelakim ustępstwom, przejęci są wielką trwogą o przyszłość najbliższą. W międzyczasie sejmowym rosyjska Rada ministrów zaprowadziła zwyczaj bezprawnego mieszania się do wszystkich szczegółów prawodawstwa finlandzkiego. Komisja do opracowania nowego porządku prawodawczego w sprawach ogólno-państwowych nie ma widoków porozumienia się ze swymi członkami finlandzkimi. Petycja senatu o naruszeniu praw zasadniczych przez przepi y z d. 2 czerwca roku 1908-go nie tylko pozostaje bez odpowiedzi, lecz nawet nie jest zreferowana.
>
> Miejsca senatorów, którzy się podali do dymisji, pozostają nie zajęte dytychczas; niema żadnej nadziei powołania senatu koalicyjnego, któryby zechciał przyjąć na siebie odpowiedzialność. Jedyna partja, w której szeregach znalazły się jednostki gotowe dźwigać odpowiedzialność w ciężkiej chwili obecnej — suometerjanie, inaczej starofinnowie, usposobieni są nadzwyczaj pesymistycznie. Wreszcie ostatni ukaz o „prawodawstwie administracyjnym" jednym pociągnięciem pióra niszczy całą półwiekową ewolucję prawodawczą sejmu. Jakie się kryją zamiary za tymi pierwszymi krokami, zrozumiałym jest dla każdego, kto zna tendencje specjalnego komitetu finlandzkiego przy ministerjum spraw wewnętrznych. Merytoryczny charakter wypadków, grożących zajść w najbliższej przyszłości, jasnym jest z pogłosek o zamierzonej „restytucji" gub. Wyborskiej dla dogodności letników rosyjskich i o zdecydowaniu przez Dumę sprawy o prawach Rosjan w Finlandji.
>
> Słowem, rocznicę „podboju" obchodzimy w okolicznościach, które mogą wywołać konieczność nowego podboju kraju.

Tyle dziennik kadecki.

Jakby na potwierdzenie tych pesymistycznych prognostyków w tydzień potym znajdujemy niedwuznaczną zapowiedź zamachu na sądownictwo finladzkie w dzienniku ministerjalnym.

> Ze wszystkiego, cośmy pisali dotychczas w sprawie zabójstwa Hercenstejna -- czytamy w *Rossiji* — każdy czytelnik bezstronny powinien był wyciągnąć wniosek, że bynajmniej nie usiłujemy uprzedzić wypadków i cierpliwie oczekujemy, póki sąd finlandzki — jakkolwiek uświadamiamy sobie w całej pełni jego przestarzałe formy średniowieczne — nie wypowie swego ostatniego słowa. Ostatnie posiedzenia sądu finlandzkiego, które miały miejsce w ciągu kilku dni ubiegłych, przekonywają nas, że — w istocie, to słowo ostatnie zostało już wypowiedziane. Nie stosuje się ono, bynajmniej, do sprawy obecnej, lecz stwierdza, iż mieli słuszność ci, którzy dowodzili, że sprawy polityczne, w których udział biorą Rosjanie — chociażby przestępstwo spełnionym było w Finlandji, powinno być rozpatrywane w sądach rosyjskich. Pociąga to za sobą zniesienie lub zmianę art. 216-go, o którym tak dużo mówiono, lecz nie można wątpić, że ciała prawodawcze przyjdą do przeświadczenia o stosowności tego aktu.

„Ukrócanie zuchwałych Finlandczyków" będzie niewątpliwie najbardziej odpowiednią pracą dla 3-ej Dumy, która odniechcenia zdradzała chęci zajęcia się w nadchodzącej sesji sprawą „utrwalenia wolności obywatelskich i konstytucyjnych."

* Prasa rosyjska dużo miejsca poświęca nadchodzącym częściowym wyborom do Dumy w Moskwie i Petersburgu — na miejsce zmarłego Plewako i wydalonego Kolubakina. W sprawie tej zabiera głos i poważny *Moskowskij Jeżeniedielnik*. Negując wszelkie *praktyczne* znaczenie wyborów, pismo to oświadcza:

> Lecz tymniemniej nadchodzące wybory mają ogromne znaczenie *moralne*. Do czasu najbliższych wyborów ogólnych dają one jedyną sposobność poznania nastroju kraju, przeglądu sił każdej partji poszczególnej, zdyskontowania jej szans na przyszłość. Jeżeli pierwsza kurja w Moskwie wybierze do Dumy kandydata postępowego w miejsce październikowca, będzie to oznaczało, że nawet *legalna* część narodu przesunęła się bardziej na lewo; dla prawicowej większości październikowców będzie to ciężkim ciosem moralnym, a w związku z tym wzmogą się nadzieje opozycji na czwartą Dumę. Odwrotnie, jeżeli — dopuśćmy niemożliwość — druga kurja petersburska wybierze październikowca, da to podstawę do przypuszczeń, że kraj najzupełniej jest zadowolony z dzisiejszej polityki „uspokojenia"; wreszcie, jeżeli mandat petersburski przejdzie do rąk lewi-

cowca, będzie to już tryumfem nie październikowców, lecz reakcji, gdyż uznałaby to ona za dowód „niedojrzałości" masy, „nieprzygotowania" jej do życia politycznego i „skłonności do rewolucji."

Tymsamym będzie wynalezione pożądane usprawiedliwienie dla nadzwyczajnej, wzmocnionej i wszelakich innych możliwych w przyszłości ochran.

Że wybory odzwierciadlają w pewnym zakresie nastrój opinji publicznej, jest to święta prawda, szkoda tylko, że w stosunkach rosyjskich sama opinja publiczna nie ma znaczenia. Przecież żyjemy, chwała Bogu, nie w Anglji: *iskoni-russkaja konstytucja* żadnej opinji publicznej nie przewiduje.

* * *

Z „konstytucją" tą jest coraz gorzej. Dopóki prowadziła żywot nielegalny można się było przynajmniej tym pocieszać, że nie straciła swej cnoty. Od czasu zaś, jak p. Milukow „wyrobił" jej paszport w Londynie, znalazła się pod troskliwą opieką władz policyjnych. Co zaś najciekawsze w tej metamorfozie — że winę za *zgwałcenie* konstytucji władze chcą zwalić na sumienie p. Milukowa, jej ojca chrzestnego. Na zebraniu przedwyborczym w Petersburgu oświadczył on, że dzięki jego podróży do Londynu *można powiedzieć*, że „w Rosji niema samowładztwa i władza cara jest ograniczona". P. Milukow jednak się pomylił: komisarz zebranie rozwiązał. Naturalnie — powszechne oburzenie.

Nazajutrz organ ministerjalny dowiódł w długim artykule czarno na białym, że p. komisarz był tylko szlachetnym rycerzem, obrońcą czci konstytucji rosyjskiej przed rozpalonym występną żądzą wodzem kadetów.

P. Milukow — czytamy — bez najmniejszego powodu ze strony jednego z komisarzy cyrkułowych — wstąpił z nim w dysputę na temat rosyjskiego ustroju państwowego i, ku wielkiej hańbie kierownika partji politycznej i byłego priwat-docenta, okazało się, że oficer policyjny jest o wiele bardziej wykształconym, kulturalnym, a co najważniejsza — bardziej konstytucyjnym od niego.

Przeprowadziwszy paralelę co do kulturalności i wykształcenia p. Milukowa i komisarza, *Rossija* tak pisze dalej:

Wreszcie, że p. komisarz jest bardziej konstytucyjnym od p. Milukowa, wnosimy, że pomimo okrzyków przewodniczącego i protestów tłumu bez strachu wykonał prawo, gdy tymczasem p. Milukow, w braku odwagi cywilnej w sprawie swych przygód londyńskich, zgwałcił je.

Powoławszy się dalej na art. 4-ty praw zasadniczych, w którym jest mowa o „samowładnej i nieograniczonej władzy Monarchy", organ ministerjalny oświadcza:

W Rosji — jak i w każdym innym kraju — jest konstytucja: jest ona omówiona w prawach zasadniczych.

I dalej:

P. Milukowowi nie podobają się rosyjskie prawa zasadnicze: pragnąłby, by było w nich powiedziano zgoła co innego. Ale w takim razie tym więcej mamy słuszności twierdząc, że p. komisarz okazał się bez porównania bardziej konstytucyjnym, niż p. Milukow.

Wreszcie kończy się artykuł zapewnieniem, że i nadal rząd rosyjski nikomu nie pozwoli gwałcić „konstytucji", i że żadne skargi do stolic europejskich na to nie zaradzą.

KRONIKA.

— W Finlandji w Frederikshan odbyły się uroczyste obchody setnej rocznicy przyłączenia Finlandji do Rosji. Wieczorem odbył się bal, na który jednak szwedzkie rodziny nie przybyły wcale — co irytuje rosyjską prasę reakcyjną.

— Zakończyły się w Petersburgu narady w sprawach finlandzkich, w których na żądanie prezesa Rady ministrów brali udział dwaj senatorowie finlandzcy. Okazała się zupełna niezgodność poglądów finlandzkich i rosyjskich. Senatorowie utrzymują, że jeśli obecnemu departamentowi gospodarczemu nakazane będzie wypłacenie 20 miljonów, departament będzie musiał podać się do dymisji. Natomiast z urzędowej strony oświadczono senatorom, że odmowa ich „może mieć skutki poważne".

— Balon sterowy francuski „la République" uległ straszncj katastrofie przebicia powłoki przez odłamaną śrubę. Balon spadł z wysokości 100 metrów, a czterej areonauci znajdujący się w łodzi zabili się na miejscu. Pogrzeb ich odbył się w Wersalu, uczestniczyły w nim olbrzymie tłumy.

— Aviator Legagneux popisywał się w Moskwie *z tym samym* powodzeniem co w Warszawie.

— Rada ministrów w Madrycie postanowiła złożyć królowi do zatwierdzenia dekret o przywróceniu gwarancji konstytucyjnych w całym kraju z wyjątkiem Barcelony i Garonny, oraz o zwołaniu kortezów i wyznaczeniu wyborów na d. 24 października.

— Z Maroka nadchodzą wiadomości o zwycięstwach Hiszpanów.

— W Nowym Jorku z niesłychaną wspaniałością odbyła się nad rzeką Hudson, uroczystość Hudsona — Fultona. Na morzu zgromadziła się olbrzymia flota okrętów wszystkich narodowości a 2 miljony ludzi przyglądało się iluminacji.

— Polskie stronnictwo ludowe w Galicji opracowało projekt reformy wyborczej opartej na czteroprzymiotnikowym głosowaniu. W komisji sejmowej namiestnik i marszałek przedstawili wniosek rządowy, polegający na utworzeniu nowej kurji powszechnego głosowania, a dla zrównoważenia jej wpływu—utrzymaniu koła wirylistów. Projekt rządowy spotkał się z silną opozycją ze strony Rusinów i ludowców, którzy zapowiedzieli, iż przy pomocy wszystkich środków, nawet najostrzejszych, zmusić spróbują rząd do przyjęcia czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego.

— Dnia 17 października w Kijowie odbędzie się zjazd przedstawicieli ludności rosyjskiej z 9 zachodnich gubernji.

— Anatole France, Dugmis i Pressensé wysłali telegram do Stołypina z prośbą o złagodzenie kary dla Czesława Świrskiego skazanego na śmierć za napad w Bezdanach.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów od nadstępujących pracowników Twa Nikopol, Mariupolskiego w Sartanie, mianowicie:

L. Wasilewski rb. 10, T. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, S. Hegner rb. 2, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb, 5, H. Cywiński rb. 2. S. Pilarski rb. 1, L. Gorazdowski. rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, A. Padarewski kop. 50, A. Mierzwiński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, A, Prokopowicz kop. 50, H. Kolberg rb. 10. Ogółem rb. 61, kop. 50.

Od H. S. z Warszawy rb. 3.

Książki nadesłane do Redakcji.

— Adam Szelągowski: „Z dziejów współzawodnictwa Anglji i Niemiec, Rosji i Polski". Wende, Warszawa.

— Gabryela Zapolska: „Skiz" Warszawa, Wende i S-ka.

— Włodzimierz Perzyński: „Idealiści" fragmenty sceniczne, Warszawa, Wende.

— Józef Kantor: „Tatry w poezji polskiej". Warsz. Wende.

— Emil Faguet: „Liberalizm" przekład Stefana Natansona, Warszawa, Wende.

— „Metodyka wycieczek krajoznawczych" Nakładem T-wa Krajoznawczego w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.